

„Motor”  
utrzyma się  
w lidze -  
twierdzi trener  
J. Złomańczuk



str. 10

Ludzie, którzy wyruszą na Marsa, już się urodzili.  
Są nimi nasze dzieci.

str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

# kamena

NR 22 (842)

3 listopada 1985

CENA 10 ZŁ

Bank pana Czesia  
i PKO SA

str. 12

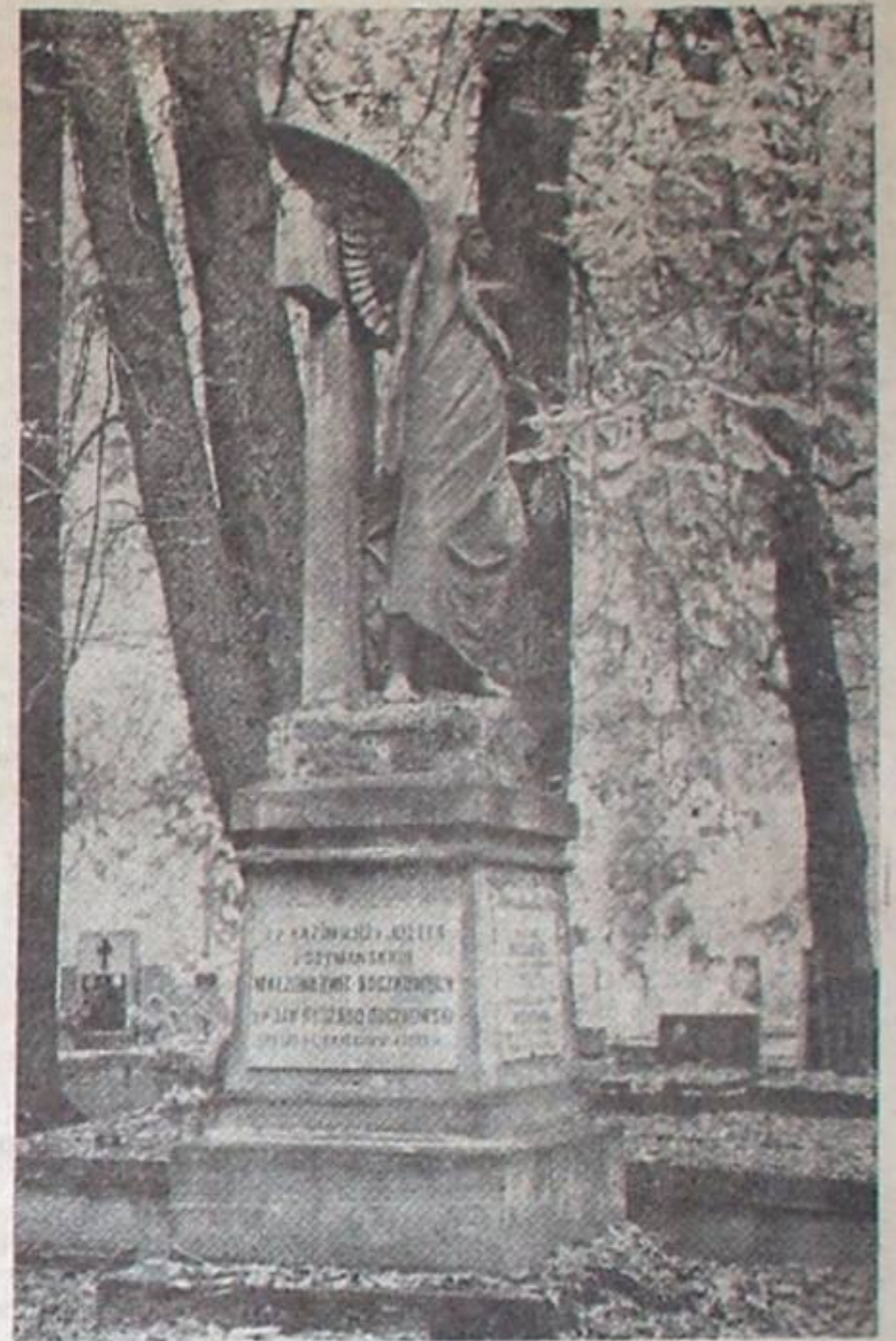


Nerwy  
zaków

str. 3, 10

11 listopada 1939 roku pojawiły się w Lublinie  
ulotki podpisane: Żołnierze Armii Polskiej

str. 4



O pamięć  
spokojną ...

str. 5

Białoszewskiego  
rzeczy ostatnie

RANO  
ZARAZ OPERACJA.  
JUŻ SIĘ UMYŁEM POD ZIMNYM  
PRYSZNICEM,  
POLAŁEM KOŁONSKĄ WODĄ.  
WCHODZI SIOSTRA  
— PANIE BIAŁOSZEWSKI, IDZIEMY,  
PORTFEL ZOSTAWIĆ, ZEGAREK  
ZOSTAWIĆ, ZĘBY ZOSTAWIĆ  
ZĘBY... ZOSTAWIĆ

Człowiek-orkiestra

str. 11

str. 6-7





# z notatnika

24 X. To spotkanie rzeczywiście zapowiadało się interesująco. Dwa kluby SD PRL dogadały się między sobą i postanowiły urządzić wspólne spotkanie. Z jednej strony klub reportaży zrzeszający tych, którzy piszą, z drugiej — klub redakcyjny skupiający tych, którzy o zakwalifikowaniu poszczególnych tekstów do druku decydują, a więc redaktorów naczelnych, ich zastępców i sekretarzy redakcji. Połączenie ognia z wodą? Przesada! Redaktorem naczelnym się bywa, reporterem się jest. Edmund Zurek, zastępca redaktora naczelnego „Kultury”, skarży się wprawdzie, że obecne obowiązki przeszkadzają mu w uprawianiu tej trudnej dziennikarskiej działości, ale przecież, jako człowiek w tej materii szczególnie doświadczony, umie ocenić pracę kolegów. I jeśli on publicznie stwierdza, że ta działość nie jest obecnie najlepiej uprawiana, należy mu wierzyć szczególnie.

Miejscem spotkania był Zamość. O mieście tym wiele się pisze, ale np. Kazik Zarzycki, szef „Tak i nie”, Rysiek Niemiec, kierujący „Tempem”, ale bardziej znany z innej strony, czy też Janusz Durmała, naczelny „Dziennika Zachodniego”, byli w tym mieście po raz pierwszy („Co za wspaniałe powietrze!” — to Zarzycki). Chwała więc obu klubom, że właśnie tu zorganizowały sesję. Niestety, wielu bardzo szanowanych redaktorów naczelnych, którzy nawet mieli zagagać dyskusję, do Zamościa nie dotarło. Znacznie lepiej dopisali zalegający reporterzy, ale jeśli nawet mieli oni jakieś żale pod adresem kierownictwa redakcji, to nie było tych żalów przed kim okazywać.

Zapowiadało się więc na kolejny niewypał, ale na sali znajdował się Janusz Atlas, który strzelił we... własne szeregi. Nie podobało mu się, że „Kontakty”, tygodnik ukazujący się w Łomży, którym notabene kieruje przewodniczący klubu reportaży, Stanisław Zagórski, ogłosił konkurs na reportaż o laur Melchiora Wańkowi- cza, a pierwsza nagroda wynosiła sto tysięcy. Sto tysięcy złotych za piętnaście stron maszynopisu — grzmiał Janusz — czy to nie przesada? I jakim prawem prowincjonalne pismo (tak mu się chyba wymknęło) miesza do tego nazwisko Wańkowi- cza? Za przykładem „Kontaktów” mogą pójść inne redakcje i wkrótce pierwsza nagroda może wynieść nawet i pół miliona złotych. To jest kaperowanie dziennikarzy. I dalej w tym duchu...

No i zaczęło się! Dostało się Warszawę, która „jest największą prowincją”. Przypomniano Atlasowi, że najbardziej liczące sukcesy odnosił w terenie. Jeśli wielkie pisma nie są zainteresowane takimi konkursami, to nie wino pism prowincjonalnych. Należy się cieszyć — mówiono — że jeszcze komuś chce się takie konkursy organizować.

Później niemal każdy mówca nawiązywał do słów Atlasa, czyli kij w mrowisko został włożony. I jeśli taka była intencja Janusza, to cel swój osiągnął. Oczywiście przy okazji powiedziano, że w dzisiejszych czasach za sto tysięcy nie kupi się nawet kolorowego te-

lewizora, co było już lekką przesadą (poza „Jowiszem” są znacznie tańsze „Rubiny”). Kiedy jednak popatrzymy bez emocji, przekonamy się, że w stosunku do aktualnych cen telewizorów obecne sto tysięcy to mniej więcej tyle, co dawne 20 tysięcy, a przecież takie nagrody do rzadkości znów nie należały...

Inna rzecz, że nagroda „Kontaktów” znacznie przewyższa nagrody klubowe SD PRL, ale czy nie należałoby raczej starać się o to, aby równać w górę a nie w dół? Przypomniano też, że w nagrodzie „Kontaktów” partycypuje Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, która zamierza zebrać reportaże w publikacji książkowej. Forsa nie została wydana tylko po to, aby ją po prostu wydać.

Czytelnik może odnieść wrażenie, że największe emocje wśród ludzi pióra wywołują pieniądze. Wypada więc dodać, że reportaż jest szczególnie pracochłonnym gatunkiem pracy dziennikarskiej, trzeba szukać tematu, szperać, węszyć, przebywać na delegacjach (dieta 180 zł, a obiad 300 zł), inwestować w dosłownym tego słowa znaczeniu i nigdy nie wie się z góry, czy ta praca przyniesie konkretny efekt. A jeśli nawet, to honorarium może wynieść trzy — pięć tysięcy złotych. Paradoksem jest, że pismo codzienne często płaci za tekst znacznie więcej niż poważny tygodnik, gdzie kryteria druku są ostrzejsze. Dlaczego tak się dzieje? A dlatego, że dzienniki mogą zaoszczędzić pieniądze poprzez druk tekstów agencyjnych i możliwości odpowiedniej gospodarki pulą honoraryjną są tam daleko większe. Wydawca, co z jego punktu widzenia jest zrozumiałe, patrzy na dzienniki życzliwie, bo one przynoszą dochód, natomiast prasa społeczno-kulturalna odwrotnie — deficyt. „My was utrzymujemy” — słyszy się głosy pracowników dzienników. My was, to znaczy kto kogo? Jutro my możemy być wami, a wy nami, nie zawsze bowiem pismo samemu się wybiera.

Wpadam już w inny temat, więc mówię stop, bo powiem jeszcze za wiele.

W Zamościu wpadłem do antykwariatu i kupiłem zbiór reportaży Anny Strońskiej pt. „Tyle szczęścia dla szweców”. Książka ukazała się w 1977 r. i kosztowała wówczas 45 zł. Ile za nią zapłaciłem teraz? Ciekawe, czy ktoś zgadnie? 60 zł! Zaledwie 60 zł! Znacomite nazwisko, świetne teksty. Odwiedziłem również księgarnię, w której m.in. nabyłem niemal identycznej grubości książkę Kazimierza Górskiego pt. „Pół wieku z piłką”. Ta wydana została w tym roku. Ile kosztuje? 320 złotych. Kto chce, niech sobie dopisze komentarz. Faktem jest jednak, że podrożała kształcą: można tanim kosztem uzupełnić księgozbiór. Ze nie są to tomy prosto z drukarni, to fakt, ale jeśli ktoś potem taką bibliotekę zobaczy, będzie miał bardzo dobre zdanie o gospodarzach...

27 X. Z Zamościa — do Kielc. Ukazujący się w tym mieście miesięcznik „Przemiany” obchodzi swoje piętnasto-

lecie. Młodszy brat „Kamery” urządził z tej okazji sesję na temat regionalizmu i uniwersalizmu w literaturze oraz towarzyskie spotkanie poświęcone rozmowie o piśmie.

Jubileusz stał się poniekąd okazją do uroczystego otwarcia Domu Środowisk Twórczych w „Palacu Zielońskiego”. Można tylko Kielcom zazdrościć, bo wyremontowany dworek z XIX wieku prezentuje się wspaniale.

Redakcja zaprosiła do Kielc pisarzy wywodzących się z tego regionu, a także przedstawicieli zaprzyjaźnionych pism. Byli i goście z Czeskiego Cieszy- na pod przewodnictwem redaktora naczelnego „Zwrotu” (miesięcznika w języku polskim), Piotra Przeczka.

Trudno się było spodziewać, aby rozmowa o piśmie prowadzona w atmosferze świątecznej wyszła poza konwenanse, tym bardziej że wprowadzenie do dyskusji, wygłoszone przez przewodniczącego rady redakcyjnej, było powierzchowne i prezentowało kolejne etapy pisma poprzez zainteresowania poszczególnych redaktorów naczelnych, a w ciągu piętnastu lat było ich aż sześciu. Przedstawiciele władz ułotnili się po otwarciu Domu Środowisk Twórczych, co można potraktować za pewien nietakt, no ale co miasto to obyczaj...

Oczywiście najbardziej sympatyczne były rozmowy kulturalne, odświeżano dawne kontakty i nawiązywano nowe, wymieniano doświadczenia i najwyraźniej w świecie plotkowano o wszystkim. Przy okazji dowiedziałem się o trzęsieniu ziemi w Łodzi, gdzie do- brano się do „Odgłosów” i linii tego pi- sma. Faktycznie „Odgłosy” z seksem trochę przesadzili, ale trudno ukryć, że nakład tego tygodnika szybko zni- kał z kiosków.

W Kielcach nie byłem kilkanaście lat. Rozrosło się to miasto, chociaż ja- da samochodem po śródmieściu do ła- twych nie należy. W sklepie warzywnym kupiłem kilogram ostrej papryki za 180 złotych. Produkcja miejscowa, nie z importu! W restauracji „Czar- dasz” (niezła węgierska kuchnia) zwró- ciłem uwagę na lemoniadę, zwaną le- mon, sprowadzaną od prywatnego wytwórcy aż z Sieradza. Oplaca się transportować? Kielce nie potrafią same przygotować takiego napoju?

Na parkingu przy ul. Sienkiewicza 28 zainstalowano zegary. Za godzinę parkowania płaci się 10 złotych. Nie zauważyłem, aby ktoś rzeczywiście sprawdzał, czy kierowcy wrzucają mo- nety i czy liczniki są odpowiednio na- stawione. Za to na zapleczu hotelu „Bristol” nie ma liczników, ale jest portier, który za godzinę postoju inka- suje 5 złotych — inaczej mówiąc 120 złotych za dobę. Pieniądze płaci się z rączki do rączki. Oczywiście parking nie jest strzeżony!

28 X. W tym numerze „Kamery” zamieszczamy rozmowę z trenerem Mo- toru, Łojalnie muszę przyznać, że ta rozmowa została przeprowadzona przed dwoma ostatnimi porażkami lubelskich piłkarzy, niemniej jakbyśmy je prze- widzieli, o czym świadczy ten znak za- pytania na pierwszej stronie. Na szczęście w I lidze jest jeszcze Zagłę- bie Lubin, Bałtyk Gdynia, Lechia Gdańsk i Stal Mielec, ale z tymi dru- żynami też trzeba wygrać! One my- ślą podobnie o Motorze! Wszystko róż- strzygnie się wiosną. Zobaczymy!

M. A. Jaworski

**S**ZESNASTOLETNI Xiaodong Wang został laureatem i nagrodą w grupie starszej. Przy- puszczam, że sukces ten nie był dla nikogo zaskoczeniem, gdyż dwa lata temu, na podobnym konkursie im. Yehudi Menuhina w Anglii, również znalazł się na pierwszym miejscu, ma- jąc zaledwie trzynastą lat. W kwiet- niu tego roku odbył się w Anglii II konkurs im. Menuhina i znowu młody skrzypek chiński zdystansował wszy- stkich uczestników.

Spośród siedmiuosobowej ekipy przy- byłej do Lublina z Chin do finału weszły aż cztery osoby i wszystkie zna- lazły się na czołowych pozycjach: w grupie młodszej — Bin Huang (I na- groda), w grupie starszej — Le Zhang (III nagroda), Zheng Rong Wang (II nagroda) i wspomniany już Xiaodong Wang. I mimo, że niektórych ocenia- no na równi z wykonawcami z innych państw socjalistycznych, przyznając liczne nagrody ex aequo wszyscy gło- sno zastanawiali się nad fenomenalnym zjawiskiem, jakim jest ta niezwykle precyzyjna interpretacja klasycznej muzyki europejskiej, tak przecież obcej chińskiej kulturze. Odniosłam wraże- nie, że tak jak na poprzednim kon- kursie najpierw był Wadim Repin, a potem już nikt, tak w tym roku naj- pierw byli Chińczycy, a potem dopiero nie mniej uzdolniony niż Repin, je- de nastolatek — Maksym Wengerow z ZSRR.

Być może rozmowa z profesorem Zhi-Long Wangiem, towarzyszącym swoim dwóm uczennicom-laureatkom, przyczyni się do częściowego chociaż wyjaśnienia tajemnicy sukcesów, jakie chińscy skrzypkowie odnoszą w świa- towych konkursach:

— Panie profesorze, jest pan również Wangiem, tak jak dwójka laureatów. Czy to rodzina?

— Skądże, Wang to po prostu jedno z czterech najbardziej popularnych nazwisk w Chinach obok Zhang, Li i Cza. Przyjechałem do Lublina jedynie jako pedagog i obserwator.

— Od kilku lat młodzi chińscy skrzypkowie zachwycają publiczność na świecie swoją muzyką. Skąd ta eksplo- zja talentów?

— Talentów, zarówno jeśli chodzi o muzykę, jak również inne dziedziny, nigdy nam nie brakowało. W siatków- ce chcieliśmy zdobyliście aż trzy razy złoty medal na mistrzostwach świata. Podobnie rzecz wygląda, jeśli chodzi o tenis stołowy. Ale też zmieniła się po-

## NERWY ZAKÓW

Lucjan Kleczkowski

Pawel i Gawel w jednym stall domu. Pawel na górze, a Gawel na dole; Pawel spokojny, nie wadził nikomu. Gawel najdziksze wymyślał swawole.

**Z**NANY wierz Aleksandra Fredry wyraźnie wskazuje, że Gawel jest nerwusem, człowie- kiem niezrównoważonym i nie- wyczerpanym. Porównując dwa odręb- ne typy psychologiczne przedstawione w wierszu można przypuszczać, że prawdopodobieństwo wystąpienia nerwicy jest większe u spokojnego Pawła, niż u „nerwowego” Gawła, chociaż w niektórych potocznych opiniach nerwica utożsamiana bywa z gwałtownym i wybuchowym, rzec można — cholerycz- nym zachowaniem. Podstawowe zaś ob- jawy nerwicy to szybkie wyczerpywa- nie się intelektualne i emocjonalne oraz wzmożona pobudliwość zmysłowa (na przykład na krzyk, na płacz dziec- ka).

Stwierdzono, że pośród pacjentów zła- szających się do lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej 30 do 50 proc stanó- wią chorzy nerwicowi, próbujmy więc zastanowić się: co to jest nerwica? W ujęciu encyklopedycznym pod mia- nem nerwicy, czyli neurozy, rozumie

## Kamena - 15 zł

**S**ZANOWNI i kochani Czytelnicy! Z przykrością musimy poinformować, że w związku ze wzrostem cen papieru, kosztów druku, energii elektrycznej i kolportażu nasz Wydawca zmuszony był podnieść cenę jednego egzemp- larza „Kamery” z 10 złotych na złotych 15 (słownie: piętnaście). Mimo tej operacji pismo będzie w dalszym ciągu deficytowe, ale — mamy nadzieję, że dzięki poparciu Czytelników ów deficyt ulegnie zmniejszeniu. Przez poparcie rozumiemy kupowa- nie „Kamery” w kioskach „Ruchu”. Przy okazji apelujemy do miłych pań, które trudnią się bezpośrednią sprzedażą prasy, by bardziej nasze pismo eksponowały, by nie zastanawiały w nim tytułów na pierwszej stronie, albo, co gorsze, by nie umieszcza- ły „Kamery” tam, gdzie „wzrok nie sięga”. Szczególnie za- leży nam na samym Lublinie, bo dwutygodnik jest przede wszystkim lubelski.

Ze swej strony oblicujemy zwiększyć atrakcyjność pisma. Ma- my wiele pomysłów, które stopniowo będziemy wprowadzać w życie.

Do starych, od lat wiernych Czytelników, mamy prośbę: pro- pagujcie „Kamene” wśród swoich znajomych. Wspomagać Redakcję swą radą i doświadczeniem. Proponujcie tematy, któ- rymi warto się zająć. Piszcie do nas i dużo i często. Wasze uwagi mogą być bardzo pomocne przy planowaniu poszczegól- nych numerów.

Powtarzamy: nie 10, ale 15 złotych. Od następnego numeru!

kamena

2

## Do 10 listopada! Przeczytaj uważnie!

Do 10 listopada br. można zamówić prenumeratę „Kamery” na rok 1986. Cena prenumeraty półrocznej wynosi 195 zł, a rocz- nej 390 zł.

A teraz szczegóły:

Instytucje i zakłady pracy w miastach wojewódzkich i pozo- stających, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Pra- sa—Książka—Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma ta- kich oddziałów, i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Indywidualni prenumeratorzy zamieszkali w miastach, gdzie są oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych oddawczych, właściwych dla miejsc zamieszkania prenumeratorów.

Prosimy o dokonywanie wpłat na blankietach wpłaty na ra- chunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”. (Bliższe informacje w okienkach pocztowych).

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydaw- nictw, ul. Towarowa 29, 00-258 Warszawa (konto NBP XV Od- dział w Warszawie nr 1153 201043 139 11). Prenumerata ze zle- czeniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od pre- numeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidual- nych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Kto ma kogoś bliskiego za granicą i pragnie, by ten ktoś miał kontakt z Polską i Lublinem, może stosunkowo tanim kosztem pomóc ów kontakt poprzez „Kamene” utrzymać. Do 10 listopada można komuś sprawić prezent na cały 1986 rok!



lityka, co zdecydowanie poprawiło naszą sytuację. W Chinach szeroko otwarto drzwi na świat. Staramy się jak najwięcej naszych dzieci wysyłać za granicę na stypendia. Sprawdzamy też znakomitych pedagogów, by prowadzili u nas wykłady czy zajęcia, szczególnie z zakresu sztuki europejskiej. Chińczycy są bardzo pracowici.

uki gry. Zresztą chińscy lutnicy zdobywają wysokie nagrody za granicą. Czytałem o takim jednym. Nazywa się De Hung-Siang. Dostał złoty medal na jakimś konkursie w RFN.

— I to właśnie zdumiewa. Przecież skrzypce w Chinach pojawiły się dopiero przy końcu XIX wieku. A wy już macie najlepszych wykonawców, naj-

grody. Najważniejsze, że możemy uczyć się od profesorów i dzieci z innych krajów. W Lublinie, mimo że uzyskaliśmy dobre wyniki, czujemy jednak pewne niedociągnięcia w wykonywaniu niektórych utworów. Na przykład interpretacja sonat Beethovena jest słabsza w porównaniu z innymi. Do tej pory w zasadzie mało

szkół muzycznych. Z nich wybieramy najlepszych. Akademia Muzyczna prowadzi także własne szkoły podstawowe i średnie.

— Jak wygląda nauka w szkołach muzycznych?

— Szkoła podstawowa trwa sześć lat. Przez pierwsze trzy dzieci połowę czasu poświęcają na naukę przedmiotów ogólnokształcących. Potem jest egzamin. Ci, którzy nie przeszli, mogą, oczywiście, nadal uczyć się do szkół amatorskich i pracują później na przykład w domach kultury. Inni od czwartego roku uczą się już w szkole muzycznej.

— Czy później kładzie się większy nacisk na przedmioty muzyczne?

— Dopiero w szkole średniej, ale i tak wymagany jest pewien poziom ogólnego wykształcenia. Coś w rodzaju matury. Dopiero potem mogą zdawać do Centralnej Akademii Muzycznej lub konserwatorium. W sumie nauka trwa szesnaście lat i jeszcze dwa, jeśli ktoś chce robić doktorat.

— Czy młodzież nie jest zanadto obciążona nauką?

— Owszem, ten problem istnieje. Byłem przez jakiś czas dyrektorem średniej szkoły muzycznej. Trudno mi było rozwiązać konflikt między nauczycielami muzyki, a nauczycielami innych przedmiotów. Jedni i drudzy uważali, że ich przedmiot jest najważniejszy. Ale przecież jeśli ktoś dobrze gra na instrumencie, to tak jakby miał w ręku narzędzie, którym może dobrze służyć narodowi.

— Położenie nacisku na kształcenie muzyczne pociąga za sobą konsekwencje w postaci zabezpieczenia pracy dla przyszłych muzyków. Czy zawsze znajdują oni zatrudnienie?

— Jeden absolwent otrzymuje zawsze kilka propozycji, niemalże bija się o niego. W Chinach jest trzydzieści prowincji i każda ma swoją orkiestrę. Poza symfonicznymi istnieją, oczywiście, także, które na instrumentach ludowych wykonują muzykę chińską. Ostatnio kładziemy coraz większy nacisk na organizowanie szkół amatorskich. Bo równocześnie z muzykami musimy wychowywać słuchaczy, by sale nie świeciły pustkami.

— A świecą?

— Sytuacja się poprawia.

— Jeśli przez tak krótki okres dokonałście tylu rzeczy graniczących niemalże z cudem, przypuszczam, że jeden więcej nie stanowi dla was problemu.

Rozmawiała: Irena Filus

## Po III Międzynarodowym Konkursie Młodych Skrzypków w Lublinie

# Chiński fenomen

Czasem sam jestem zaskoczony tym, że nasze dzieci pracują ponad siły, ponad nasze nawet wymagania. No i wręcz moi koledzy są bardzo dobrymi pedagogami. Niektórzy poświęcają całe życie dla muzyki, nie dbając o interes własny.

— A to, jak widzimy, wywołuje określone efekty. Czy również we własnym kraju?

— Słuchacze chińscy są w zasadzie przyzwyczajeni do swoich ludowych instrumentów i mimo tego, że na skrzypkach gra stosunkowo najwięcej ludzi w naszym kraju, to dopiero ostatnio ogarnęła nas fala gorącego zainteresowania wiolinistyką. Mają na to niewątpliwie wpływ sukcesy naszych skrzypków na międzynarodowych konkursach. Obecnie około 10 tysięcy dzieci w wieku od czterech do pięciu lat uczy się grać na tym instrumencie. W Chinach skrzypce są bardzo tanie. Za czterdzieści jenów każda rodzina może wejść w ich posiadanie.

— Czy to również znaczy, że macie dobrych lutników?

— Tak, nasze instrumenty z powodzeniem można wykorzystywać do na-

lepszego lutników, najlepszych pedagogów! Muszę przyznać, że takiej ekspresyjnej interpretacji I Koncertu Szymanowskiego może pozazdrościć Wangowi nie jeden znakomity skrzypek...

— Bo też Xiaodong Wang jest wyjątkowo utalentowany. Do tego dołączyło się jeszcze kilka spraw, jak to, że jego ojciec również jest dobrym skrzypkiem i na konkursie ogólnochińskim zdobył nagrodę. Poza tym profesor Wang — Zhang Shixiang, którego pani też poznała, to świetny pedagog, który sam nieźle gra.

— No dobrze, ale to jednak Szymanowski, kompozytor z kraju o zupełnie odmiennych tradycjach kulturowych. Jak można małemu chłopcu przekazać całą tę wiedzę?

— Widocznie można. Każdy pedagog stara się wcześniej zapoznać z dokładną biografią danego muzyka, poza tym zanim przystępujemy do szczegółowej analizy dzieła, słuchamy wielu nagrań. Bardzo, co chcę jeszcze raz podkreślić, pomagają nam w tym wyjazdy. Jestem zadowolony, że miałem okazję znaleźć się w Polsce z grupą moich uczniów. Nie tylko walczyliśmy o na-

czasu poświęcałmy na te utwory. Teraz uogólnienie doświadczeń pozwolił nam na nadrobienie braków. Jednocześnie już w przyszłym roku będzie można wymienić następne doświadczenia, tym razem u nas w Pekinie, gdzie odbędzie się I Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków.

— Czy tam usłyszymy te piękne chińskie utwory, które tu wykonywano tylko na koncertach towarzyszących?

— Właśnie tak jest to pomyślane, by między innymi propagować również skrzypcową muzykę chińską, gdyż trzeba przyznać, że nasi kompozytorzy chętniej pisują symfonie. Ufundowaliśmy nawet nagrody za najlepsze wykonanie chińskich utworów.

— Wróćmy jeszcze na chwilę do konkursu lubelskiego. Zauważyłam, że bardzo wcześnie dzieci w Chinach zaczynają muzyczną edukację. Ale tu, w Lublinie, znaleźli się przeważnie starsi. Czy należy przypisać to jakiemś specjalnemu systemowi kształcenia?

— Myślę, że nie tak bardzo różni się on od polskiego. Niemniej rzeczywiście przyjmujemy dużo dzieci już w wieku czterech i pół roku do amatorskich

się „zaburzenia czynnościowe układu nerwowego, wzmożoną jego pobudliwość i nadmierną reaktywność na negatywne bodźce zewnętrzne”. Według innej definicji, nerwice to „choroby układu nerwowego, które cechują zaburzenia czynności, bez zmian organicznych”. Nerwica nie jest chorobą psychiczną, lecz nabytym zaburzeniem psychicznym, zaburzeniem odwracalnym. Jest osłabieniem sił sterujących jednością psychiczną, a manifestuje się wielorakością objawów, z których dominujące dają podstawę do określenia rodzaju nerwicy. Wyróżniamy więc nerwicę lękową, hipochondryczną, neurasteniczną, histeryczną, wegetatywną, narządową, naczyniową, ruchową, płciową, rentową, odszkodowaniową, porażkową, sytuacyjną i szereg innych. Są to jednak synonimy nerwicy.

Wśród przyczyn nerwicy należy uwzględnić czynniki genetyczne, ale decydującymi są psychospołeczne uwarunkowania środowiskowe. W zależności od warunków życia, w procesie powstawania nerwicy biorą udział takie elementy, jak wyczerpanie fizyczne, intelektualne i emocjonalne, silne jednoznaczne urazy psychiczne, bądź przewlekłe sytuacje urazowe lub konfliktowe. Reakcja człowieka w omawianych sytuacjach może mieć charakter odczynu nerwicowego prawidłowych przeżyć psychicznych, albo może stanowić składnik autentycznego zespołu nerwicowego.

Angielskie i amerykańskie statystyki zachorowalności wskazują, że trzy spośród czterech osób w okresie jednego miesiąca odczuwają różne dokuczliwe objawy, które zwalczają za pomocą leków, przez odpoczynek w łóżku, konsultację z lekarzem lub ograniczenie pracy. Spośród tych symptomów można wymienić bóle głowy, zaburzenia snu, brak łaknienia, kołatanie serca z uczuciem lęku, smutek, obniżenie popędu płciowego. Ponadto ludzie postrzegają w sobie wiele innych objawów, które ignorują i traktują jako nieważne, bez leku przed chorobą. Najbardziej powszechnie występujące objawy chorób

uznawane są często za normalne lub wyjaśniane podobnie, jak w przypadku bóle mięśni przypisuje się nadmiernemu wysiłkowi fizycznemu, a na przykład niestrawność — przejedzeniu. Również lekarze niejednokrotnie pomijają te symptomy w opisach, jeśli są one powszechne, nie podlegają leczeniu, czy też specjalnej uwadze. Jeżeli jednak człowiek na trudne sytuacje reaguje zaburzeniem czynności fizjologicznych i we własnym mniemaniu łączy swoją reakcję psychiczną z chorobą, można sądzić o nerwicy.

Zaobserwowano, że studenci medycyny, ze względu na specyficzną sytuację, w jakiej się znajdują (między innymi poznawanie chorób), w około 70 proc. postrzegają u siebie zespoły objawów, które przypisują pewnemu procesowi chorobowemu. Warto zwrócić uwagę, że „choroba studentów medycyny” kończy się łatwo i w krótkim czasie, zwłaszcza po lepszym zrozumieniu przez nich diagnostyki, lub po zasięgnięciu porady lekarskiej. Zjawisko znacznego rozpowszechnienia nerwicy dotyczy nie tylko studentów medycyny i w ostatnich latach główne zainteresowania akademickiej służby zdrowia skupiły się wokół psychicznych aspektów zdrowia ogółu młodzieży studiującej. W piśmiennictwie dotyczącym stanu zdrowia studentów zdecydowanie przeważają prace psychiatrów i psychologów. Brak jednakowych kryteriów diagnostycznych powoduje wszakże duże rozbieżności w określeniu rozpowszechnienia zaburzeń psychicznych, zwłaszcza nerwicy.

Na podstawie liczby zgłoszeń studentów do poradni zdrowia psychicznego w różnych środowiskach akademickich ustalono, że wskaźnik występowania nerwicy u młodzieży studiującej wahał się w granicach 2—8 proc. Znacznie wyższe i dokładniejsze wskaźniki uzyskać można w badaniach epidemiologicznych populacji studenckiej, przy pomocy testów psychologicznych. Badania takie prowadzono również wśród słuchaczy pięciu wyższych uczelni Lublina. Okazało się, że silna nerwica występowała u 24 proc. badanych, słab-

szą nerwicę stwierdzono w 47 proc., natomiast 29 proc. studentów nie wykazywało nerwicy. Podobne wyniki, przy zastosowaniu identycznego testu, uzyskano w badaniach studentów warszawskich.



Rys. Zbigniew Cieniuch

Porównanie rozpowszechnienia zaburzeń psychicznych u studentów z liczbą tych schorzeń u rówieśników nie studiujących, na podstawie większości badań, nie wykazuje istotnych różnic. Podkreśla się, iż jedynie zgłaszanie się studentów do lekarza psychiatry jest liczniejsze, niż rówieśników nie studiujących, co prawdopodobnie wynika ze specyficznej i trudnej sytuacji, w jakiej znajdują się ci pierwsi. Sytuacja ta wymaga od młodzieży akademickiej stałej sprawności intelektualnej oraz wydolności emocjonalnej i bywa określana mianem „pogotowia intelektualno-emocjonalnego”.

Największą liczbę zgłoszeń do lekarzy z powodu nerwicy obserwuje się na dwu lub trzech pierwszych latach studiów. Charakterystyczny jest wzrost

wizyt w okresie sesji egzaminacyjnych. Często również u młodzieży kończącej studia nasilają się objawy nerwicowe jako wyraz obawy przed rozpoczęciem nowego życia.

W lubelskich badaniach nie wykazano wpływu czynnika instytucjonalnego (rodzaju uczelni) na liczbę nerwicy u studentów. Można sądzić, że rodzaj uczelni z występującymi w niej stosunkami międzyludzkimi i wymaganiami wobec studentów wpływa bardziej na różnicowanie w korzystaniu z opieki psychiatrycznej, niż na powstanie nerwicy. Nieraz obserwuje się wyraźne nasilenie zgłoszeń z określonych uczelni lub kierunków studiów; związane z trudnościami, na jakie napotykają studenci.

Dociekający przyczyn zaburzeń nerwicowych u studentów najczęściej podkreślają, że podjęcie studiów przez osoby niedojrzałe emocjonalnie powoduje u nich występowanie objawów nerwicowych i trudności w przystosowaniu się do wymogów szkoły wyższej. Zaznacza się jednocześnie, że w etiologii nerwicy odgrywają rolę nieprawidłowości i rozdręgnięcia w rodzinie studenta a także „cieplarniane” wychowanie. Psychologiczne problemy studentów warunkowane są zarówno czynnikami środowiskowymi sprzed studiów, jak też nowymi wpływami, które stwarza środowisko akademickie.

Niektórzy twierdzą, że dla większości studentów zgłaszających się po poradę psychiatryczną podstawowym problemem nie są kategorie zdrowia i choroby, ale kategorie przystosowania lub nieprzystosowania do środowiska uczelnianego. Wśród zaburzeń równowagi psychicznej, zgłaszanych przez studentów w poradni zdrowia psychicznego, najczęstsze są odchylenia nie

Dokończenie na str. 10



# Z dziejów konspiracji

JEDENASTEGO listopada 1939 r. pojawiły się w Lublinie ulotki nawiązujące do Święta Niepodległości, podpisane: „Zolnierze Armii Polskiej”. Znajdowały je mieszkańcy miasta w bramach omów, skrzynkach pocztowych, na ocznych ulicach. Przypadkowo stały one jakby odpowiedzią na falę aresztowań, jaką przeżył Lublin 9 i 10 rano w godzinach rannych 11 listopada. Niemcy, aby nastraszyć polskie społeczeństwo i zapobiec ewentualnym ochodom święta, uwieźli wówczas wielu znakomitych przedstawicieli inteligencji: nauczycieli, dyrektorów szkół średnich, pracowników sądownictwa i profesorów KUL-u. Przypadkowo też ulotka ZAP-u „powitała” rzybyłego dwa dni wcześniej SS-brigadeführera Odilo Globocnika, który biał dowództwo wszystkich sił SS i policji w dystrykcie. Piszę: „przypadkowo”, gdyż o Globocniku zapewne jeszcze nie wiadomo, a wydrukowanie ulotki planowano o wiele wcześniej. Mało kto zdawał sobie sprawę, że za ową ulotką (200—300 egz.) kryła się tajna organizacja, nosząca właśnie nazwę „Zolnierze Armii Polskiej” („ludzie mówili, że rozrzucili ją Anlicy”).

Organizacja Zolnierze Armii Polskiej (ZAP) powstała w połowie października 1939 r. i bez wątpienia obok Komendy Obróńców Polski (KOP), Związku Orła Białego (ZOB) i Służby Zwycięstwu Polski (SZP) była jedną z pierwszych inicjatyw konspiracyjnych w Lublinie. Założycielami jej byli: Zbigniew Maj, student KUL-u, Jan Graszka, również student KUL-u, pracownik OM TUR-u, Wojciech Rokicki, chor. rezerwy, pracownik Zarządu Miejskiego; porucznik służby stałej artylerii Józef Dobrowolski.

Krąg konspiratorów ZAP-u był dość różnicowany i, jak należy przypuszczać, wynikał z dawnych więzi i kontaktów czwórki organizatorów. Wywołał się więc ze środowiska studentckiego KUL-u, zwłaszcza byłych członków korporacji „Astrea” i Legii Akademickiej, działaczy omturowskich oraz podchorążych i zawodowych wojskowych. Część z tych ostatnich dołączyła do zakończonej kampanii wojennej i powróciła, bądź czasowo zatrzymała się w Lublinie.

Wszystko wskazuje na to, że dawne więzi przez cały czas zastępowały w ZAP-ie formy organizacyjne praktykowane przez inne grupy, a więc „trójki”, „piątki” konspiracyjne, placówki itp. Tym można tłumaczyć m. in. rzadki dla konspiracji fakt — nieprzyjmowania w ZAP-ie pseudonimów.

Trudno dziś ustalić, kto faktycznie był inicjatorem organizacji, czy powstała ona samorzutnie na fali bardzo silnej wówczas tendencji do tworzenia tajnych grup i związków, czy też inicjującą rolę odegrał por. Dobrowolski, którego, być może, do tych zadań przygotowano wcześniej.

Początkowo organizacja Zolnierze Armii Polskiej niczym nie różniła się od wielu innych, imiennych i bezimiennych grup konspiracyjnych tego okresu. Nie dysponowała wykształconą strukturą organizacyjną, trudno też bliżej scharakteryzować jej profil i zamierzenia. W. Rokicki pisze na ten temat w swojej relacji: „Czapkę ZAP-u stanowiło wymienionych czterech założycieli, którzy nie mieli żadnej praktyki konspiracyjnej, stąd stała się improwizowana i amatorszczyzna. Wiedzieliśmy tylko, że trzeba jakoś zacząć i coś zrobić”. Jedno wydaje się pewne: że organizacja ZAP-u była grupą cywilno-wojskową. Nie ma natomiast pewności, kiedy pojawiła się nazwa: „Zolnierze Armii Polskiej”: czy przyjęta została już na początku, czy też dopiero w chwili wydania wspomnianej ulotki.

Sytuacja uległa zmianie w końcu 1939 r. Otóż w listopadzie lub w grudniu por. Dobrowolski nawiązał kontakt z ośrodkami polskiego wywiadu wojskowego, działającymi na terenie Węgier. Pozostało do wyjaśnienia, czy jego pierwszy wyjazd do Budapesztu podyktowany był — jak setek innych oficerów — chęcią dostania się do formowanego na obczyźnie Wojska Polskiego, czy też zamierzeniem celo-

wym, o charakterze kurierskim. Faktem jest, że w Budapeszcie Dobrowolski nawiązał kontakt z kapitanem Wincentym Medyńskim (ur. 6 lipca 1898 r.), b. oficerem 43 pp, a bezpośrednio przed wojną szefem ekspozytury II Oddziału w Równym, podległej bezpośrednio Dowództwu Okręgu Korpusu II (DOK) w Lublinie. Dobrowolski otrzymał od Medyńskiego szczegółowe instrukcje z którymi powrócił do Lublina. Według tych wytycznych, ZAP miał podjąć zadania wywiadowcze. Sprowadzały się one m. in. do obserwacji węzłów kolejowych i szlaków komunikacyjnych, koszar wojskowych, rozmieszczenia jednostek nieprzyjacielskich, ustalania adresów instytucji niemieckich, a także do informowania ośrodków polskich na emigracji o poczynaniach okupacyjnych władz niemieckich. Dane te miały być przekazywane „zie-

## Zolnierze Armii Polskiej

Ireneusz Caban

lonym szlakiem” bezpośrednio kapitanowi Medyńskiemu.

Najczęściej rolę kuriera spełniał osobiście Dobrowolski. W okresie niespełna roku porucznik przemierzył szlak Lublin — Budapeszt co najmniej pięciokrotnie (znał on doskonale język ukraiński i zwyczajnie panujące na Rusi Zakarpackiej). Dzięki temu Dobrowolski stał się jakby nieformalnym kierownikiem całej organizacji.

Kontakty z Budapesztem miały i tę dobrą stronę, że każdorazowo zasilaly finansowo (około 25—30 tys. zł polskich) konspiracyjną i wywiadowczą działalność ZAP-u. Pieniądze te przeznaczono także na zapomogi dla pozostających w kręgu ZAP-u oficerów służby czynnej, zwłaszcza oczekujących na przerzut za granicę, oraz na organizowanie samych przerzutów. Było to bowiem również jedno z zadań, jakie postawił przed ZAP-em budapeszteński ośrodek dyspozycyjny.

Szlakiem przetartym przez Dobrowolskiego wyjechało na Węgry m. in. kilku oficerów 44 i 45 pp z Równego. Przy tej okazji spełniali oni również funkcje kurierskie, przewożąc meldunki i raporty wywiadowcze ZAP-u.

„ZAP — pisze W. Rokicki — tworzył w zasadzie luźne grupy organizacyjne. Więz z »centralą« polegała na przekazywaniu do Lublina wymaganych informacji i korzystaniu z pomocy finansowej. [...] Rozwój przebiegał dość żywiołowo, aczkolwiek podkreślana była zasada pełnej konspiracji”.

Zgodnie ze swoim charakterem, ZAP był organizacją nieliczną. W jego kręgu znalazło się w województwie nie więcej, niż kilkudziesięciu członków. Poza Lublinem Zolnierze Armii Polskiej zdołali utworzyć ośrodki konspiracyjne w Chełmie, Puławach, Janowie, Szastarce i prawdopodobnie w innych jeszcze miejscowościach.

Komórka w Chełmie powstała na początku 1940 r. Zapoczątkował ją harcmistrz, inż. Aleksander Sarkisow, związany przed wojną z tym miastem, gdzie był m. in. komendantem hufca ZHP. Przybył on tutaj z Warszawy, nawiązując wcześniej w Lublinie kontakt z Wojciechem Rokickim, który wtajemniczył go w sprawy ZAP-u i polecił utworzenie organizacji na terenie Chełma.

Sarkisow, wykorzystując dawne powiązania i znajomości, oparł się przede wszystkim na kręgach działaczy harcerskich, wciągając do ZAP-u m. in. Mariana Pilarskiego, Witolda i Bolesława Zimmerów oraz Pawła Durkę. Ulatwił to fakt, że grupa harcerzy z Chełma już wcześniej poczyniła pewne kroki w kierunku stworzenia organizacji konspiracyjnej, ale nie dysponowała kontaktami na Lublin lub Warszawę. Wkrótce z ZAP-em związała się grupa zawodowych podoficerów, któ-

rej przewodził chorąży artylerii II PAC Zgorzelski (wcześniej kontakt z nim nawiązał W. Rokicki). Ponadto w kręgu chełmskiego ZAP-u znaleźli się m. in. Nowelski, Marcinkiewicz, Terpiłowski, Aleksander Skorupa, Wiktor Piątkowski i Franciszek Krakiewicz. Ci dwaj ostatni związani byli już z organizacją wywiadowczą „Muszkietery” i zapewne kontakt z ZAP-em traktowali jako rozszerzenie źródeł informacji. Piątkowski, który kierował chełmską ekspozyturą „Muszkietery”, objął funkcję zastępcy Sarkisowa w ZAP-ie, zaś Sarkisow został zastępcą komendanta „Muszkietery” na miasto Chełm.

To wzajemne przenikanie się członków różnych ugrupowań i formacji konspiracyjnych było zjawiskiem typowym dla tego okresu. Wynikało ono przede wszystkim z faktu, że w warunkach luźnych struktur organizacyjnych szczególnie dużą rolę odgrywały więzi nieformalne (dawna znajomość, pokrewieństwo, przynależność do tej samej organizacji przed wojną itp.). Jak dalece powiązane były wzajemnie pierwsze grupy i organizacje konspiracyjne, niech świadczy to, że ówczes-

ny komendant obwodu ZWZ Chełm, kpt. Jan Roliński „Andrzej” („Jan”), uważał część członków ZAP-u za swoich podkomendnych, a całą organizację za stowarzyszoną z ZWZ-tem. Ponadto istnieją przekazy o pewnych związkach chełmskiego ZAP-u z miejscową grupą KOP-u.

ZAP nawiązał również pojedyncze kontakty poza Chełmem, m. in. w Pobołowicach, gdzie komórkę tej organizacji zainicjował nieznaną dziś z nazwiska nauczyciel z Lublina, pracujący w tym czasie w służbie leśnej.

Staly kontakt pomiędzy komórką ZAP-u w Chełmie a tzw. czwórką kierowniczą w Lublinie utrzymywał przez cały czas inż. Aleksander Sarkisow. Był to jedyny kanał organizacyjny. W połowie 1940 r., zagrożony aresztowaniem, Sarkisow wyjechał z Chełma i osiadł w Motyczu. Wkrótce związał się tu z ZWZ-tem pełniąc funkcję komendanta Rejonu, a później dowódcy specjalnego oddziału AK „Szarugi”, zajmującego się odbiorem zrzutów. Wyjazd Sarkisowa oznaczał jednocześnie zerwanie łączności grupy chełmskiej z centralą ZAP-u w Lublinie, a tym samym rozpad organizacji. Jej członkowie znaleźli się w szeregach „Muszkietery”, bądź w ZWZ.

Interesujący jest pogląd wspomnianego już Wiktora Piątkowskiego (późniejszego komendanta ZWZ-AK obwodu Chełm), który charakteryzując chełmską grupę ZAP, stwierdził w swojej relacji: „Organizacja ta nie miała jednak perspektyw. Wtedy panował powszechny nastrój oczekiwania rychłego końca wojny”. Piątkowski traktuje więc ZAP jak wiele innych powstałych wówczas ugrupowań konspiracyjnych. Być może, grupa chełmska nie miała świadomości organizacji o charakterze wywiadowczym. Jest to tym bardziej możliwe, bo Sarkisow podaje, iż zamierzał w Chełmie utworzyć plutony ZAP-u, co przeczyłoby charakterowi organizacji nastawionej na wywiad. We wczesnym okresie konspiracji nie byłaby to sytuacja wyjątkowa. Zdarzało się bowiem, że mimo zachowania tej samej nazwy i tego samego pnia organizacyjnego poszczególne grupy różniły się nie tylko budową, ale i charakterem zadań, a nawet politycznym.

O wiele mniej znany dotychczas dzieje puławskiej grupy ZAP-u. Wiadomo jedynie, że siatkę tej organizacji tworzył tam Jan Graszka, wykorzystując dawne znajomości w środowisku omturowskim. Komórka ta była dość silnie związana z KOP-em. Prawdopodobnie obie organizacje wydawały wspólnie tygodnik powielany „Zolnierze Armii Polskiej” (egzemplarzy tego pisma nie odnaleziono). Informację tę podał b. komendant główny KOP-u Henryk Borucki „Czarny”, w nie publikowanych „Notatkach i wspomnieniach z lat 1939—1945”, pisanych w kilka lat

po wojnie. Wzmiankę o podobnej treści zawarła S. Lewandowska w książce „Ruch oporu na Podlasiu” pisząc, że „z wydawnictw pozostających ugrupowań politycznych zachował się ślad docierania na Podlasie pisma „Zolnierze Armii Polskiej”. Oboje autorzy wymieniają też Wojciecha Rokickiego jako jednego ze współredaktorów tygodnika. Nie potwierdza on jednak tych wiadomości, podkreślając w swej relacji, że wydawanie pisma przeczyłoby podstawowym zadanom ZAP-u, zaś akcja ulotkowa 11 listopada była jednorazowa. Nie wyklucza natomiast możliwości ukazywania się takiego pisma w ogóle, gdyż, jak stwierdza, „w warunkach konspiracji mogły powstać grupy, które wymykały się spod kontroli”. Jest to tym bardziej możliwe, że Borucki określa czas ukazywania się tygodnika na grudzień 1940 r., kiedy to ZAP, jako jednolita organizacja konspiracyjna, znajdował się w stanie zaniku.

Jeszcze mniej znane są dzieje grupy ZAP-u w Janowie Lubelskim. Utworzył ją tam student KUL-u Stefan Łukasiewicz, rodzinnie związany z tym miastem. Grupa ta była nieliczna, zdołała jednak zawiązać komórki organizacyjne i w innych miejscowościach powiatu janowskiego. Jedną z nich powstała wśród pracowników stacji kolejowej w Szastarce, przekazując wartościowe informacje o ruchu transportów wojskowych.

Organizacja Zolnierze Armii Polskiej utrzymywała kontakty z innymi grupami i nurtami konspiracji. Pewne związki łączyły ją z Konfederacją Narodu, „Baonami Zemsty” z okolic Piasz oraz Organizacją Wojskową (OW) w rejonie Motycza. Nie w pełni wyjaśnione są relacje KOP — ZAP. Wspomniany już H. Borucki traktuje ZAP jako swego rodzaju autonomiczną grupę w ramach okręgu lubelskiego KOP. Wszystko wskazuje jednak na to, że związki te mogły mieć jedynie charakter luźny, a co najwyżej polegały na podwójnym członkostwie niektórych ludzi; jak należy sądzić — stwarzało to organizacji ZAP możliwość rozeznania sytuacji w innych grupach konspiracyjnych. Skądinąd wiadomo, że sprawy te szczególnie interesowały polskie ośrodki dyspozycyjne na Zachodzie.

Nadal nie wyjaśniony pozostaje udział ZAP-u w Komitecie Polskich Organizacji Niepodległościowych (KPN), który stanowił ośrodek zjednoczenia akcji niepodległościowo-wojskowej, konkurencyjny w stosunku do ZWZ. Tymczasem T. Tarnogrodzki i R. Tryc (patrz: Polskie organizacje konspiracyjne w kraju w latach 1939—1945, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1966 nr 4) umieszczają ZAP w gronie kilkunastu organizacji tworzących KPN. Gdyby istotnie polegało to na prawdzie, sprawa powinna być znana „czwórce kierowniczej” ZAP-u (w KPN-ie poszczególne organizacje reprezentowali członkowie kierownictwa), tymczasem faktu tego nie potwierdza jeden z jej członków — Wojciech Rokicki. Należy zatem przypuszczać, że informacja ta zacierpnięta została z „Notatek i wspomnień” Boruckiego „Czarnego”. Niewykluczone, że kierownictwo KOP-u, dążąc do stworzenia przeciwwagi ZWZ-tu, wykazywało również udział Zolnierzy Armii Polskiej w KPN-ie.

Niemniej jednak ZAP w pewnym sensie zbliżony był ideowo do KPN-u. Podobnie jak uczestniczące w nim organizacje, również ZAP odnosił się do ZWZ nieufnie i nie uznawał początkowo mandatu Związku do kierowania sprawami wojskowymi w kraju. W przekonaniu tym utwierdzało ZAP m. in. finansowanie jego działalności przez ośrodek dyspozycyjny na emigracji.

Późną jesienią 1940 r. por. Dobrowolski, po piątym przekroczeniu granicy, nie powrócił do Lublina (poprzez Portugalię został przetrzycony do Wielkiej Brytanii). Okoliczności tej decyzji (zapewne nie Dobrowolskiego) nie są znane. Miała ona jednak zasadniczy wpływ na dalsze losy organizacji. Zerwanie kontaktu z kapitanem Medyńskim spowodowało jakby zawieszenie ZAP-u w próżni. Zbiegło się to z utraceniem kontaktów „czwórki kierowniczej” z niektórymi organizacjami w terenie, w tym przede wszystkim z Chełmem. Tym więc łatwiej grupy związane poprzednio z ZAP-em zaczęły „rozpyliwać” się w coraz aktywniejszych strukturach innych organizacji, a przede wszystkim w ZWZ. Niemal wszyscy znani członkowie Zolnierzy Armii Polskiej znaleźli się; później w szeregach ZWZ-tu, a następnie AK, i co ciekawsze — pełnili w ich szeregach ważne funkcje organizacyjne (komendantów i zastępców komendantów obwodów, członków sztabów) i dowódcze (dowódców oddziałów partyzanckich: „Górala”, „Nerwy” i „Szarugi”).



# O pamięć spokojną...

Marla Denys

**C**ORAZ ciśnie się na lubelskich cmentarzach, szczególnie tych najstarszych, zamkniętych już dla celów grzebalnych, choć pozwalających jeszcze w ciągu dwudziestu lat na „dochowywanie” zmarłych do istniejących grobów, a także budowę murowanych miejsc ostatniego spoczynku w istniejących grobach ziemnych i w miejscach wcześniej wykupionych. Żywych ogarnia gorączka by „zdążyć” pochować bliskich i... siebie na starych jeszcze, obróśniętych tradycją cmentarzach. Równie niechętnie, co niedawno lublinianie, którzy w 1795 roku otrzymali by cmentarz na Rurach, dają się grzebić na odległej od miasta nowej nekropolii — Majdanku.

Dawni lublinianie przyzwyczajeni byli do kościelnych cmentarzy i podziemi świątyni, gdzie od średniowiecza grzebano zmarłych gęsto, płytko i wielowarstwowo. Tak było w całej prawie Europie, do czasu, kiedy w połowie XVIII wieku zrozumiano, jak niebezpieczne dla zdrowia mieszkańców jest bliskie sąsiedztwo ich siedzib z miejscami grzebalnymi. Zwłaszcza w czasie szalejących epidemii. Alláć mieszkańcy Lublina długo jeszcze tkwili w przekonaniu, iż poza obrębem miasta nie godzi się im, obywatelom, składać swych doczesnych szczątków, w miemianiu, iż ziemia tam nie nazbyt jest „święta”. A skoro tak, to nadająca się jedynie do grzebania w niej samobójców, ludzi umarłych w butach, to jest przestępców ścietych ręką katedry, ofiar zarazy, urodzonych jako nieżywe i nie chrzczonej dzieci oraz... aktorów. I to w dodatku pod parkanem!

Lublinianie „uciekali” też ze swymi zmarłymi do podmiejskich parafii — św. Trójcy na wzgórze zamkowe, św. Mikołaja na Czwartku, św. Krzyża na Wieniawie, aż i tam zabrakło miejsca na pochówki. Po kilkunastu dopiero latach „wrócili” na nowy cmentarz „Pod Lipkami”, lecz tam już, jako pierwsi, złożyli ciała swych bliskich lubelscy wolnomyśliciele, masoni. Z rdzy, która toczy żeliwne inskrypcje, wysłuskać jeszcze można wzrokiem ich nazwiska, rangi i zawody. Byli wśród nich oficerowie napoleońscy z czasów Księstwa Warszawskiego, sędziowie, lekarze, aptekarze, przemysłowcy, kupcy, finansjera. Znaczna reprezentacja lubelskiej inteligencji.

Co działo się dalej? Do połowy XIX stulecia zmarłych chowano na cmentarzu „Pod Lipkami” (dziś przy ul. Lipowej) bez planu i poniekąd porządku. Wiele pomników i płyt nagrobnych przeniesiono z owych przykościelnych cmentarzy. Prawdopodobnie do takich pamiątek należą pomniki Marcina Szibichera zmarłego w 1800 roku, Tomasza Wiechy zmarłego w 1812 roku i Karola Gründlicha zmarłego w 1813 roku. Najstarszymi jednakże bez wątpienia są pomniki nagrobne pochodzące z epoki klasycyzmu, tak znanych wówczas obywateli miasta, jak Leona Urmowskiego, porucznika artylerii, rysownika widoków Lublina; Tomasza Dederki, sędziego wojewódzkiego; Feliksa Grotowskiego, pułkownika, któremu „nie stopniowi, lecz enocie i przyjaźni” poświęcił pomnik ofi-

cerowie; inżyniera Łukasza Rodakiewicza, budowniczego pierwszego stałego teatru w Lublinie czy doktora Józefa Steina, który swoje profesorskie oszczędności przeznaczył w Uniwersytecie Warszawskim na stypendium dla studentów z Lublina.

W czterdziestych latach XIX wieku prezesurę i dozór nad tym cmentarzem objął kapitan wojsk polskich Antoni Kozyrski. Zaprowadził tam wtedy istic wojskowy porządek. Wyznaczone zostały miejsca dla chowania dorosłych, dzieci, samobójców i nie chrzczonej. Ulicę, prowadzącą od Krakowskiego Przedmieścia, zwaną Cmentarną, wybrukowaną i obsadzoną lipami. Prezes Kozyrski sprowadził też do Lublina trzy karawany, nabywając je zresztą na własność. Była to poniekąd nowość, bowiem te smutne, czarne pojazdy wjechały po raz pierwszy na ulice miast z końcem XVIII stulecia. Karawan I-szej klasy, czterokonny, o trzech stopniach, sukniem granatowym okryty, z płaszczem granatowym dla furmana i kapami dla koni kosztował złp. 18, karawan drugiej klasy, parokonny, czarnym sukniem kryty i dwoma stopniami kosztował już tylko złp. 9. Dla najuboższych karawany były bezpłatne, trzeciej klasy, bez pokrycia, jednokonne. Do pojazdów tych trzeba było jednakże najmować extra konie, przeważnie na poczcie. Czwórka karych na tę smutną okoliczność kosztowała złp. 20. Nieodpłatnie koni najczęściej udzielał ówczesny właściciel browaru przy ul. Misjonarskiej, obywatel o znacznej wśród lublinian pamięci, Teofil Gerlicz. A czy dzisiaj, w XX wieku, produkuje się jeszcze karawany? Wprawdzie przeminęła już na nie modą, niemniej obstarłować je można w równie „reliktowym”, bodajże jedynym w Polsce, warsztacie powoźniczym mogącym przyjąć takie zamówienie — w Gostyniu w Wielkopolsce. Skoro wspomnieliśmy o XIX-wiecznym transporcie cmentarnym, ciekawe, jaka była wówczas cena za miejsce na cmentarzu? Według cennika z 1818 roku, miejsce dla rodzinnego grobu murowanego kosztowało 100 złp., pojedynczego, ziemnego — złp. 50, a na początku XX wieku pokładne za groby rodzinne, murowane poblerano w wysokości 40 rubli, za pojedyncze — 20 rubli, a za ziemne — według klasy, do której zmarły był zaliczony...

Pełnego uporządkowania cmentarza „Pod Lipkami” dokonał następca kapitana Kozyrskiego — prezes dozoru, a jednocześnie prezydent miasta Lublina, Henryk Woliński. Wtedy to ostatecznie przeniesiono szczątki zmarłych z dawnych kościelnych cmentarzy i pochowano je w trzech zbiorowych mogiłach, upamiętniając miejsca ich poprzedniego spoczynku. W 1870 roku cmentarz powiększono i otoczono murem, do którego wystawienia przyczyniła się ponoć sroga zima i... wilki. Zgodniałe, w poszukiwaniu żeru, wdzierały się na cmentarz przez nieszczelny parkan. Lublin i wilki... W samym prawie dzisiejszym środku miasta! Były też i inne zakusy, carskich tym razem władz, by cmentarz obsadzić morwami, a to w celu podniesienia w Lublinie produkcji jedwabniczej... Uszanowano jednak odwieczne prawo do wyłączności tych miejsc, spokoju i niecierpania z nich żadnych materialnych korzyści.

W latach 1821—1901 na cmentarzu rzymskokatolickim „Pod Lipkami” znalazło jeszcze miejsce ostatniego spoczynku około 46 tys. obywateli Lublina. Na przełomie wieków XIX i XX w sąsiedztwie cmentarza założone zostały cmentarze prawosławny i ewangelicko-augsburski, a w 1914 roku — cmentarz wojskowy, później komunalny. Dzisiaj trudno policzyć wszystkich tu pochowanych. Może jest ich 70 tys., a może i więcej? Na starych grobach powstały nowe. Wiele też mogił starł czas i zapomnienie. Przetoczyły się przez miasto i jego cmentarze dwie wojny. Zmieniły się mody i style żałobnych ceremonii. Tylko żał po stracie bliskich pozostał ten sam. Pamięć o ludziach, ich czynach i wydarzeniach historycznych, w których uczestniczyli i wraz z epokami przeminęli, przechowują jeszcze pomniki nagrobne.

W ciągu ostatnich lat o ochronę cmentarzy coraz głośniej zaczyna dopominać się opinia społeczna. Wzorem Społecznego Komitetu Opieki nad Starymi Powązkami powstają inne, miejskie i regionalne komitety i stowarzyszenia. W Polsce jest około 20 tys. cmentarzy o wysokiej wartości zabytkowej, wymagających pilnej ochrony i konserwacji. Ta jednakże, podobnie jak i ochrona i konserwacja innych dóbr kultury narodowej, przekracza, szczególnie w obecnym czasie, fizyczne i materialne możliwości zarówno powołanych do tego służb konserwatorskich, biur badań i dokumentacji zabytków, jak i sporego już kręgu społeczników i organizacji. Decydującą rolę grają nie tylko niedostateczne w stosunku do potrzeb nakłady finansowe, czy „sławetny” brak materiałów budowlanych, ale i... brak fizyki! Tych zwykłych bibliotecznych kartoników, nieodpornych do zewidencjonowania pomników cmentarnych. Nie mówiąc już o fachowcach, na przykład kamieniarzach — nie, nie tych „robiących” w lastriko, ale w „przedwojennym” kamieniu. Ich doświadczona ręka i dłuto nadal są poszukiwane dla odnowienia pom-



Jeden z odnowionych nagrobków klasycystycznych

ników sztuki sepulkralnej. Także i na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Prócz tych materialnych i organizacyjnych braków, najuciążliwsze jest jednak niedostateczne uświadomienie roli cmentarza w... świecie żywych. Nekropolia jest miejscem pamięci o bliskich-nieobecnych, a więc pamięci bardzo osobistej, i jednocześnie miejscem pamięci narodowej. Spoczywają tu zasługi dla historii miasta i kraju obywateli. Wymieńmy chociażby Hieronima Łopacińskiego, Mieczysława Biernackiego, Feliksa Bieczyńskiego, Klemensa Junoszę Szaniawskiego, Jana Baranowskiego, ks. Piotra Skargę, jakże liczne zastępy powstańców styczniowych, wygnańców syberyjskich, lubelskie duchowieństwo i nauczycieli, przemysłowców, prezydentów miasta, legionistów, żołnierzy obu wojen i wyzwolenia, ofiary okupacji, dorosłych, dzieci... Tymczasem dewastacja cmentarza pogłębia się. Na oczach naszych giną zabytkowe pomniki cmentarne. Niszczy je nie tylko czas, ale i ręce ludzi złej woli. Ze starym cmentarzem umierają stare zabytkowe drzewa, a są tu rzadko spotykane okazy dębu błotnego, młorzębów japońskich, stare jesiony. Jeszcze rosną, jeszcze dają cięć pomnikom i schronienie ptakom, póki je „troskliwie” w pastowaniu lastrikowej płyty ręce nie obleją kwasem lub nie zostaną przez „nieuwagę” ścięte...

29 stycznia 1985 roku decyzją Wojewódzkiego Konserwatora kompleks czterech cmentarzy przy ul. Lipowej, wraz z historycznym układem alejek, kwater, kaplic; oraz drzewostanem, został wpisany do rejestru zabytków województwa lubelskiego.

Fakt ten poprzedziły wieloletnie starania ze strony zarówno służb konserwatorskich, jak i kręgów społecznych, szczególnie Komisji Opiek nad Zabytkami Oddziału Miejskiego i Zarządu Wojewódzkiego PTTK, Komisji Fotografii i Filmu Krajoznawczego, szkolnych kół PTTK, ZHP. Co przynosiła ta decyzja? Ogrom pracy inwentaryzacyjnej wszystkich, nie tylko powstałych do 1945 roku pomników i płyt, a nawet tych lastrikowych. Ważne jest tu rozpoznanie i zarejestrowanie całej zabytkowej substancji cmentarza, by wybrać najcenniejsze przykłady sztuki sepulkralnej do konserwacji i zabezpieczenia. Wśród autorów pomników o wysoldych walorach artystycznych spotykamy nazwiska znanych warszawskich artystów rzeźbiarzy: Kurzawy Pyrowicza, Laszczki, Syrowicza, Jeziorańskiego, Marczewskiego, Mencia i innych. Spośród lubelskich chociażby te: Timme (autor około stu pomników), Leszczyński, Kinard, Nowak... Co już zrobiono w zakresie konserwacji? Otóż na polecenie Wojewódzkiego Konserwatora grupa specjalistów z Torunia pod kierunkiem dr. Janusza Krauzego odnowiła około 40 żeliwnych pomników klasycystycznych z 74 zaplanowanymi. Konserwatorzy z Torunia podjęli się także renowacji niektórych kamiennych pomników cmentarnych.

W województwie lubelskim cmentarzy o wartości zabytkowej jest powyżej setki. Do rejestru wpisane zostały, prócz nekropolii przy ul. Lipowej, trzy przykościelne cmentarze w Meiłgwi, Wawolnicy i Rykach, ponadto cmentarz ewangelicki przy ul. Waryńskiego cmentarz rzymskokatolicki w Bychawce oraz Kirkut przy ul. Siemnel, otoczony już solidnie wyremontowanym murem, a także cmentarz żydowski w Kazimierzu Dolnym. Razem — ośmiu cmentarnych obiektów. Całość inwentaryzacji prowadzi Biuro Dokumentacji Zabytków, a pomocy w tej ogromnej pracy nie odmawiają ani studenci z kół historyków KUL, ani członkowie WTPSP, ani krajoznawcy i przewodnicy PTTK. Ponadto Oddział Miejski PTTK przygotowuje wydanie, także ssekretowanej, przewodnika po cmentarzu rzymskokatolickim przy ul. Lipowej, według pracy magisterskiej młodego historyka Leona Popka. Mówiac o aktywności społecznej pewnych środowisk i organizacji, nie sposób nie wspomnieć o inicjatywie lubelskiego PAX w kierunku powołania społecznego komitetu ochrony cmentarzy z szerokim udziałem organizacji, stowarzyszeń regionalnych, zwłaszcza wyznaniowych, osób prywatnych.

Całkowity zakaz grzebania zmarłych na cmentarzu przy ul. Lipowej obowiązywać będzie od 1 stycznia 1998 roku. Do tego czasu toczy się tu będzie zwykła cmentarna codzienność...

Fot. Arkadiusz Karoń



Miejsce spoczynku rodu Vetterów



# Białoszewskiego rzeczy ostatnie

L. Lia Wójcik

**C**ZŁOWIEK musi umieć zadomowić się we własnym istnieniu. Jeśli nawet nosi w sobie katastroficzne lęki albo czeka na wielkie zdarzenia dziejowe, powinien wtulić się w struktury małego realizmu i zakorzenie w jego tkankach. Rozumiał to doskonale Miron Białoszewski. Mała, szara rzeczywistość obecna była w jego twórczości od debiutanckich „Obrotów rzeczy” poczynając aż po tomy ostatnie. Prawo poetyckiego obywatelstwa od początku zyskały u Białoszewskiego wszelkie codzienne rupiecie pogrzebane w kurzu i zapomnieniu przedmieścia wielkomiejskie ulice i maleńkie, zapyziałe miasteczka podwarszawskie: Garwolin, Wołomin. Była to zatem stała — co już przy okazji „Obrotów rzeczy” napisał Jan Błoński — poezja „bliska doświadczeniu nędzy i bezsilności w osobliwym sensie proletariacka [...], ale to także poezja samotnika anachorety w „ponumerowanej grocie” wielkomiejskiej kamienicy. I ten samotnik oddaje się rzadkiej pracy: ustala swą relację wobec rzeczy, ratuje prywatność spojrzenia, słowem — ocala indywidualność”.

Obrazy z najwykłępszej codzienności ujmowane precyzją formy poetyckiej ujawniały u ich twórcy wielką znajomość rzeczywistości kultury. Potrzeby albo może nawet obsesje odkrywania codziennych, a jednocześnie nieznanym przecie obszarów kultury podmiejskiej, wielkomiejskiej, przedmieściowej, znowionej, rodziły się u Białoszewskiego chyba za

sprawą wiedzy o rzeczach, dostrzegania tajemnic w przedmiotach. Wielokrotnie pisano o tym poecie (m. in. Błoński, Sandauer) że jego poezja, to „liryka dialogów z przedmiotami”. Białoszewski zbudował rzeczywiście swoistą metafizykę przedmiotu, poszukując w rzeczach sensów ontologicznych, budując wokół nich własne systemy aksjologiczne.

W świecie rzeczy, którym poeta nadawał własny autonomiczny byt, odnajdywał także swoją prywatną Arkadię, usytuowaną zwykle w śmietnikach, durszlakach, stołkach, windach... Przestrzeń jaką pokazuje Białoszewski, przestrzeń jego poetyckiego świata jest zawsze wymierna, nazwana i określona. Nie ma przestrzeni abstrakcyjnych, są konkretne ulice, miejscowości, mieszkania, mało ogólności, wiele indywidualności, tylko ludzie w tych przestrzeniach Białoszewskiego bywali często niedookreśleni — anonimowi obywatele wielkich miast, ale jednocześnie plewca konkretów, dzielnic, kamienic, a więc po trosze parafialny, plebejski i franciszkański w swoim umiłowaniu świata „maluczkich”.

Rupieciarnia Białoszewskiego z „Obrotów rzeczy”, z „Rachunku zachciankowego” w kolejnych tomach wierszy i prozy ulegała stopniowym przekształceniom, zmieniała swoje rozmiary i swoją semantykę.

Pośród rupieci, w owym stałym potykaniu się poety z „rzeczywistością”, coraz więcej było obecności człowieka. W ostatnim, przygotowanym jeszcze przez poetę, tomie „Stara proza. Nowe wiersze” i w pośmiertnym tomiku „Oho” świat rzeczy jakby stracił swój autonomiczny byt. Rzeczywistość poetycka przynosi tu krajobraz ludzki, pokazuje człowieka pośród rzeczy i innych ludzi, choć z nie mniejszą niż dawniej siłą ujawniają się owe wielkie „awantury” poety z zewnętrżnością. Zresztą nikt chyba poza Białoszewskim nie potrafił tak mocno pokazać w poezji zjawiska doznania zewnętrżności.

Ostatnie tomy poetyckie ujawniają, że Białoszewski to przede wszystkim poeta życia w „cywilizacji windy”, poeta zdarzeń tragicznych i śmiesznych, które doskonale w tej poezji bytują obok siebie. Bo przecie ten jednoczesny tragizm i śmieszność, nim staną się poezją, tworzy sama rzeczywistość.

W tomie „Stara proza. Nowe wiersze” gdzie pełno tego „mrówkowania”, „mrowienia się” (nawet już w samych tytułach tekstów) Białoszewski wraca, nie po raz pierwszy już, do problemu obcości człowieka w czasie i przestrzeni, w których przyszło mu żyć, do problemu wykorzenienia człowieka, niezakotwiczenia w żadnym miejscu, w żadnej kulturze i tradycji. Ale pokazuje także jeszcze coś więcej; procesy degradacji ludzkiej osobowości i pro-

## Poezja ukraińska w przekładzie Tadeusza Karabowicza

Mykola Synhajiwski

Dniepr  
początkami sięga kropli  
urodzonej z gwiazd.  
Dobroć  
początek  
z ludzkiego serca.  
Ocean  
kroplami  
wypijają wichury.  
Niedola  
powoli  
wlewa się do życia.  
Tak i zorza  
początek bierze z niebios  
Pierwsze kroki moje  
cicho i złościście  
prowadzą do ciebie,  
Ukraino!

Natalka Nikulina

Najbardziej zbliża do ojczyzny ziemi  
Ten szlak do domu, do ojcowskich mogił,  
Ten gorzki płotun na jesiennych wzgórzach,  
I krzyk żurawii pełen pożegnania.

Serhij Burlakow

Oddychaj wiatrem wielkim,  
nie holduj spokojowi i pogardzie,  
Nie kochaj siebie  
Bardziej,  
Niżli ziemię  
ziarno i wodę,  
Naucz się od nich —  
Ich ciszy,  
Oddechu sadów i traw,  
Odwracaj się od złych ludzi,  
Tylko złych nie wpuszczaj na próg domu.

## KABARET - SZTUKA TRUDNA

**W** OPINII wielu ludzi jestem człowiekiem niepoważnym — powiada Irosław Szymański, Z wykształcenia i praktyki jest medykiem. A poza tym... autorem tekstów satyrycznych, kompozytorem, reżyserem, twórcą kabaretu „Łoża 44”, który obdarzał przez lat wiele specyficznych poetyką. „Łoża 44” w nowszych przekonaniach i opiniach to po prostu kabaret. Na pewno ale właściwie także coś więcej, chociaż zjawisko wyhodowano na wzorach kabare-

towych i podstawowym językiem jego artykulacji była zawsze satyra.

A zaczęło się najzwyczajniej, tak jak to na ogół bywa w życiorysach twórców i zjawisk artystycznych. W Liceum im. Zamoyskiego, gdzie Szymański przed kilkunastu laty pobierał nauki, istniał szkolny teatr i kabaret. Związał się więc z nim na jakiś czas Szymański. Przy okazji studniówki przygotował teksty satyryczne. Jakies tam pseudo-kabaretowe, wzorowane na twórczości Gozdawy i Stepnia „Kabarecie starszych panów”. Potem już jako student Akademii Medycznej był w zespole studenckiego kabaretu, gdzie pisał teksty, komponował muzykę i występował na scenie.

W 1972 roku, kiedy uprawiał już poważny zawód lekarza, powstała „Łoża 44”. W zespole było na początku prawie trzydzieści osób, w większości studentów AM. Występy odbywały się w sali wykładowej Studium Wojskowego akademii, gdzie warunki były raczej mało sceniczne, ale najważniejsza wówczas — jak powiada Szymański — wydawała się wspólnota myślenia i autentyczny zapal ludzi. To, co tworzyli, nie mieściło się raczej w ramach tradycyjnego kabaretu, sytuowało się raczej gdzieś pomiędzy kabaretem a teatrem. Stąd nierzadko na rozmaitych przeglądach i festiwalach z powodu trudności z „zakwalifikowaniem” zjawiska pomijano je czasem w przydziałach nagród. No, ale wiadomo przecie, że kiedy coś się nie mieści w normach, to oczywiście wywołuje zaraz rozmaite kłopoty.

Dla Akademii Medycznej „Łoża” z czasem zaczęła być dzieckiem niekochanym, rodziły się konflikty, tzw. „dyspozycyjność” zespołu pozostawiała wiele do życzenia, więc akademia chciała pozbyć się kłopotu. Trwało tak

do kwietnia 1982 roku, kiedy to „Łoży” — mówiąc językiem urzędowym — „Decyzją Plenum Rady Uczelnianej SZSP cofnięty został status agencji SZSP” co oznaczało po prostu, że trzeba oddać pomieszczenie, sprzęt... Ale zanim to nastąpiło, tzw. „szczęśliwym zbiegiem okoliczności” twórczość i dorobek „Łoży” mogły stać się materiałem ogólnopolskiej konsumpcji. W listopadzie 1980 roku Krakowski Ośrodek TVP zaproponował „Łoży” współpracę i już w lutym 1981 został zarejestrowany pierwszy autorski program Szymańskiego pt. „Fragment większej całości”, a w dwa miesiące później następny — „Dyskuteczka show”.

Szymański robi kabaret zdecydowanie polityczny, ale w innej tonacji i wymiarach niż „Egida” Pietrzaka. W latach 1980—81, kiedy to o wszystkim mówiło się „cała gęba”, satyra „ogólniona” jaką proponuje Szymański, wydawała się pewnie nazbyt subtelną.

Ale idźmy dalej. Od czerwca 1981 roku „Łoża” wchodzi do programu „Spotkań z balladą”, a Szymański sta-



cesy zezwierzczenia człowieka Najlepiej widać to może w małym cyklu wierszy zamykającym tom „Wiersze baby z bloku” Krótkie, czasem kilkunastokrotne teksty pokazują właściwie cały wielki, okrutny świat „bab z bloku”.  
Stałam pod blokiem  
Szała baba z kokiem,  
Zmierzyliśmy się oczami  
I futrami.  
Zjeżyliśmy  
i cofnęliśmy.

Na końcu tego tomu znalazły się dwa małe dwuwierszowe utwory: „Wiersz baby z bloku” i „Wiersz baby z drugiego bloku” I może są to jakieś ostateczne posłania Białoszewskiego i najistotniejsze jego myśli o ulomnej kondycji współczesnego człowieka, o ludzkim współbytowaniu w świecie cywilizacji wielkomiejskiej. Choć nie człowiek bezpośrednio jest bohaterem tych tekstów:

Winda windzie  
z udźwigu nie wyjdzie.  
i drugi:  
Winda windzie  
Liny nie przegrzyje.

Jakże łatwo odnaleźć pierwowzory tych wierszy w popularnych porzekadłach: „Wydra wydrze futra nie wydrze”, albo „Kurwa kurwie lba nie urwie”. I wiadomo, że Białoszewski uznaje tu wyższość rzeczy nad człowiekiem Degraduje kulturowe i społeczne szablony, bo dostrzega przecież więcej humanitarnych związków „uczuć” pomiędzy windami, niż pomiędzy tymi babami, co jeżą się i gryzą wzajemnie, i którym zapewne obca jest znajomość tych zasad, że wydra wydrze..., i baba babie... nie powinny...

Język — o czym napisano już wiele — był zawsze dla Białoszewskiego „domem” Lapidarny żart i komicizm, które dopełniały i urealniali tragizm pokazywanej rzeczywistości. Zakorzenione były w materiale językowym, w specyficznej umiejętności ujawniania kalectw języka uwikłania w żywiol mowy „lokalnej”, tej z przedmieść Warszawy, z Garwolina, z bloko-betonów, ze zmrowionych osiedli Białoszewski budował zawsze świat przez język, z uwzględnieniem żywiolu ironii. Wykorzystywanie „żywej mowy”, zapisywanie zasłyszanych dialogów

dawały możliwość uchwylenia cudzej, przypadkowej prywatności, możliwości budowania małych struktur dramatycznych, jak w cyklu „Kabaret Kieci Koci” z tomiku „Oho” Zderzeniem zasłyszanych potrafił nadawać Białoszewski kształt wizualny niemal teatralny. Pełnił rozmaite opowieści: Stefy z Garwolina o kogucie i bratowej, a jednocześnie o wieczności, śmierci i swoście pojmovanej kulturze stają się małymi dramatami z życia prowincjonalnego miasteczka, w które wpisane zostały ważne myśli poety o życiu, świecie, rzeczach ostatecznych. Zresztą Białoszewski o sprawach istotnych ludzkiego bytowania stale mówił językiem bab, lumpów. Może łatwiej w ten sposób obcować ze świadomością śmierci, przemijania, odchodzenia.

A w tomiku „Oho” głównie wokół tych spraw krąży wiersze Białoszewskiego. Jest tu swoisty „zapis choroby” (cykl „Spotkania z nożem”), gdzie poeta usunął już zupełnie dystans pomiędzy Białoszewskim a bohaterem swej poezjo-prozy (zresztą, zawsze ten dystans bywał niewielki, albo żaden). Jakże różny jest ten „zapis choroby” od tego typu „zapisów” tragicznych, pełnych rozdarcia, np. u Wojaczka, Stachury. U Białoszewskiego jest przede wszystkim zgoda na chorobę, na cierpienie, na to wszystko, co jest człowiekowi dane. Na rzeczywistość szpitalną, koszmarną i jednocześnie jakże komieczną:

— miejsce dla tego pana!  
— jeszcze nie gotowe.  
Mowa o mnie, na wejściu  
— a 113?  
— łóżko się suszy,  
przecież całe na koniec zła.  
I w innym miejscu taki „zapis szpitalny”:  
Rano  
Zaraz operacja.  
Już się umyłem pod zimnym prysznicem,  
połałem kolońską wodą.  
Wchodzi siostra  
— panie Białoszewski, idziemy,  
portfel zostawić, zegarek zostawić, zęby zostawić  
zęby... zostawić  
[...]  
winda rusza  
— to pan jest poetą?  
— tak

— pisze pan oryginalne wiersze —  
i wprowadza mnie do zielonego przedsonka...  
Cała ta historia szpitalna została opowiedziana ciurkiem tym językiem, co to „niby się przejęczyła i nie wyjęczyła”, choć rozpiętość tematów jest tu ogromna; od słusiania przez rurkę i sztucznych zębów po problem samotności, po metafizykę i eschatologię.

W poezji Białoszewskiego bardzo czytelne i ważne zawsze były rozróżnienia przestrzenne, związane z postawą człowieka, często leżącą, ale także stojącą, w drodze, w podróży. I w tych tomach ostatecznych poety współlistnieją stale dwa zasadnicze wymiary przestrzeni; wymiar horyzontalny, związany z taką postawą ludzką, pojawia się wszędzie tam, gdzie mowa o „żeńzieniach w szpitalu”, o „wczasach na leżać”, a wymiar wertykalny obecny jest właściwie stale, bo przecie człowiek najczęściej „bywa” w postawie stojącej i stale pośród wiatrów, wieżowców, i wciąż skazany na wznoszenie się w górę i opadanie.

Odnaleźć można w tomiku „Oho” także swoisty zapis „podróży” Białoszewskiego, jego ostatnich wyjazdów do Garwolina, ostatnich wędrowek albo, jak to sam określa, „przelatywania” po mieście, wędrowek do i ze szpitala, i „wczasów na chodząco”, a więc kolejne przywoływanie mitu podróży, wędrowki. Bo właściwie — o czym może niewiele powiedziano — wszystkie, prozo-poezje i poezjo-prozy (te dwa gatunki niewiele różnią się u Białoszewskiego) obracały się gdzieś w kręgu tego mitu. „Wyprawy” z Tarczyńskiej na Marszałkowską, z Chłodnej na Hożą, wyjazdy do Garwolina czy Otwocka przenosił poeta w sferę mityczną, nadawał im wymiar odwiecznego mitu drogi. Możliwe to było pewnie także za sprawą tego „osobnego języka” — splotu rozmaitej mowy, indywidualnej, pozaoficjalnej, pozanormatywnej. I pewnie także za sprawą tej osobliwej mowy wiersze i prozy odsłaniają wstydliwą ludzką prywatność, broniąc jej wobec zagrożeń ze strony norm społecznych, kulturalnych. Są sztuką odkrywającą w świecie rzeczy — człowieka.

Miron Białoszewski: Stara proza. Nowe wiersze. Waw. Warszawa, Czytelnik, 1984; Oho. Warszawa, PIW, 1985.

## Mykoła Worobiov

### ODGŁOSY

Będziemy czekać, synku,  
czekaliśmy tak krótko.  
Tyle pociągów jeszcze odjedzie i przyjedzie.  
Szyby świecą tyłoma kolorami.  
To słońca promyk, to księżyc smutek.  
Pączki i liście, kwiaty i ziarenka.  
To tu, to tam...  
Będziemy czekać,  
to będzie wtedy,  
wyjdziemy na peron z bukietami astrów.  
Tato może nie wie, że są takie kwiaty.  
Na spotkanie pociągu,  
wyjdzie wielu ludzi, których my nie znamy,  
to będzie ostatni pociąg  
z ostatniej wojny.  
Pociąg powoli wyhamuje szybkość.  
Tato wyjdzie z wagonu,  
rozpozna ciebie,  
weźmie na ręce... —  
— mówiła przez lzy matka.



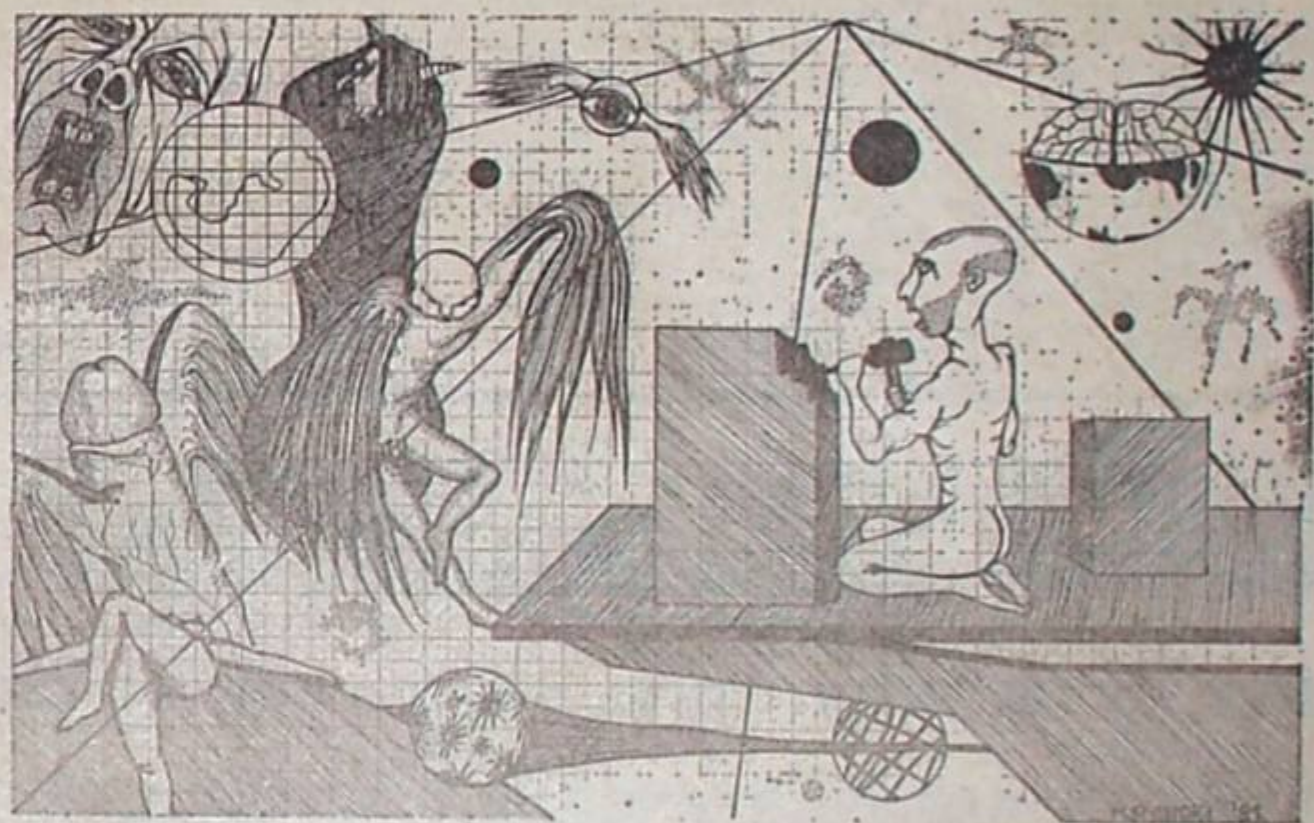
je się współautorem kolejnych odcinków tego popularnego programu. Jednocześnie realizuje własny cykl kabaretowy pt „Co jest grane?”. Łącznie dotychczasowa współpraca z telewizją owocuje trzynastoma programami na małym ekranie.

Jeśliby próbować szukać powodów czy źródeł zainteresowania twórczością Irosława Szymańskiego, trzeba by powiedzieć przynajmniej tyle, że decyduje o tym specyficzna forma tej twórczości, oscylująca pomiędzy kabaretem, widowiskiem muzycznym teatralnym. Drugi powód zainteresowania to pewnie język tych programów-widowisk, opisujący i nazywający zjawiska otaczającego nas świata, ale nie pozbawiony oczywiście odcieni ironii, bo Szymański wie zapewne, że w języku utrwalają się rozmaite mądrości i wszelkie głupstwo. Język jego widowisk wydobywa rozmaite sensy, bezsensy i absurdy rzeczywistości poprzez odbieranie albo przydawanie słowom określonych znaczeń. Szymański buduje zwykle w swoich widowiskach proste sytuacje codziennie, np. stanie w ko-

lejce, zebranie, i wypełnia je zwykle tzw. drugim albo i trzecim planem, odkrywając polskie lęki i obsesje, próbując poszukiwać ich źródeł i przyczyn.

Teatr im. Osterwy przygotował wiosną 1984 roku prapremierę pierwszej pełnospektaklowej sztuki Szymańskiego „Próba adaptacji”. W Lublinie „naganiana widowia” opuszczała salę w czasie przedstawień, ale podczas występów w Warszawie, w Teatrze Stara Prochownia, przedstawienie wzbudziło zainteresowanie. Irosław Szymański mówi, że myśli o pisaniu dla teatru, choć wie jednocześnie, iż powszechnie ludzi bardziej interesuje rozrywka, a więc np. widowisko kabaretowe, niż teatr. Ale kabaret to trudna sztuka, bo nigdy przecież nie wiadomo dokładnie, co i kiedy może być śmieszne, a co straszne i okrutne. Zresztą w kabarecie niezwykle trudno zdobyć publiczność, bo wiadomo, że ludzie chcą, żeby było wszystko powiedziane i łatwo, i prosto, i śmiesznie, i przy tym jeszcze „politycznie”.

W.L.



Rys. Mariusz Rybicki

## Paweł Gembal

### FRANZ KAFKA I JOZEF K.

Po przeczytaniu Procesu próbuję wyobrazić sobie scenę „Wykłęty” obarczony „niezawinioną winą” złożony gruźlicą. Leży Franz Kafka Przy łożu czuwa Józef K. Trwają tak Wśród nie kończącej się i odbierającej nadzieję pustki W myślach śmiertelnie chorego roi się wszystko to Czego nie spodziewał się już ujrzeć więcej Rodzinny dom Stary pogrzebac z brązu szczypce do węgli fotele nóż W rękach matki krojącej tradycyjny orzechowy tort ojciec Stojący za ladą i śniące noski butów komin zakładu Lämila Kůlka obyczajów przestrzeganych w imię judaizmu Kůlka scen Z sądu które utraciły samostną wartość lub z domu jak Ręce siostr zanurzające chleb w zupie świeżo ugotowanej Przez ową wspaniałą Żydówkę jaką była jego matka Kobieta O oczach tak ciemnych jak ściana lasu w Kierling k/Wiednia Rozciągająca się przed nim poprzez horyzont-którego centrum Stanowiła jego śmierć Trwają tak wśród nie kończącej się Odbierającej wszelką nadzieję pustki Trwają... Widzę kontrast Między ich spojrzzeniami Franza jasnym i przezroczystym Józefa matowym i czujnym w którym czai się do skoku wiedza O przeszłości Franza Kafki Przeszłości zamkniętej ciasnymi Horyzontami Liběchov Sifem Turnov a nawet Berlina i Pragi Wyobraża sobie także mur opieki który świat dorosłych budował Wokół przyszłego pisarza Wyobraża go sobie jako ofiarę Tego szantażu czułości tak często uprawianego przez matki W stosunku do synów Myśli o tym czym dla niego jest Kafka: Czy tylko człowiekiem który stał się dla niego źródłem Pierwszego kontaktu ze światem z niesprawiedliwością z bólem ze strachem Trwają... Trwają tak wśród nie kończącej się Odbierającej wszelką nadzieję pustki Nie rozmawiają ze sobą Jednak widać że łączą ich coś więcej niż przyjaźń Czy to samo Zrozumienie czasu i spraw Czy wspólny rodzaj oczekiwania Nie wiem Nie wiem...

Wiersz „Franz Kafka i Józef K.” rywalizował z 1043 utworami 1043 poetów z całego kraju. Paweł Gembal, członek Klubu Literackiego przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich, został jednym z ośmiu laureatów tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poetyckiej. Reprezentatywnemu jury przewodniczył redaktor naczelny miesięcznika „Poezja”, Bohdan Drozdowski. Paweł Gembal zdobył w poprzednich latach znaczącą nagrodę gdańską „Czerwonej Róży” i kilkanaście innych wyróżnień poetyckich. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza oraz „Iskry” przygotowują kolejne tego tomiki poezji.



# Ekran i widz

## Ile stereotypu, ile hitu, ile prawdy?

**P**OWODZENIE filmu Radosława Piwowarskiego „Yesterday” wśród festiwalowych jurorów pozostaje dla mnie zagadką. Ta opowieść o grupie młodych entuzjastów muzyki Beatlesów, wypełniona muzyką słynnej „Czwórki z Liverpoolu”, a osadzona w scenarii prowincjonalnego polskiego miasteczka z połowy lat sześćdziesiątych, nie wzbudziła ani zachwytów polskiej krytyki filmowej ani, co więcej, większego zainteresowania wśród młodzieżowej widowni, do której chyba przede wszystkim, film był adresowany. Właściwie „Yesterday” przemknął przez polskie ekrany w sposób prawie niezauważalny.

Na ostatnim festiwalu polskiego filmu fabularnego w Gdańsku Piwowarski dostał nagrodę (Brazowe Lwy Gdańskie) za debiut wraz z Wiesławem Saniewskim, autorem bardzo ambitnego i dojrzałego „Nadzoru” (Nawiasem mówiąc, obydwaj twórcy nie są już filmowymi nowicjuszami i „Yesterday”, i „Nadzór” były tylko ich pierwszymi fabularnymi filmami pełnometrażowymi). Ale oto, jeszcze wcześniej w Wenecji Radosław Piwowarski otrzymał za swój film liczącą się nagrodę FIPRESCI, międzynarodowego stowarzyszenia krytyki filmowej. A już po festiwalu gdańskim, na festiwalu filmowym w San Sebastian „Yesterday” zebrał same główne nagrody: Złotą Muszlę, Nagrodę Basków oraz nagrodę za najlepszą rolę męską dla młodego Piotra Siwkiewicza, odtwórcy postaci „Ringo”. Prostą konsekwencją wydaje się zatem przyznanie na początku października Radosławowi Piwowarskiemu nagrody artystycznej II stopnia ministra kultury i sztuki za twórczość filmową.

Scenariusz „Yesterday” wyszedł spod pióra reżysera filmu. Oto niewielkie miasteczko, „gdzieś w Polsce”, połowa lat sześćdziesiątych. Młodzież szkolna fascynuje się muzyką Beatlesów, ich życiową „ideologią”, stylem bycia, sposobem ubierania się, ich buntem przeciwko otaczającej rzeczywistości. Ta muzyka, płynąca z wysłuchanych, chartujących radiodiodników, z prymitywnych odtworzeń adapterowych, z „pocztówek dźwiękowych”, przenika przez mury szkół, gdzie na okazjonalnych akademiach króluje „Walentyna Twist” w wykonaniu dziewczęcych „chórków” oraz zbiorowe recytacje klasyków poezji. W miejscowym technikum kolejowym cztery chłopcy z klasy maturalnej zakładają grupę beatową. Grają na prymitywnym sprzęcie. Ich idolami są Beatlesi do tego stopnia, że przybie-

rają imiona: „Ringo”, „John”, „Paul” i „George”, czeszą się i ubierają tak jak tamci wspaniali chłopcy z Liverpoolu.

I tu się zaczyna! Zjednoczone siły miasteczka — szkoła, rodzice, kościół, administracja — ruszają do ataku na „kontestatorów”. Każdy na swój sposób stara się ich odwieść „od zła” na swój sposób „otrzeźwić”, zawrócić na „właściwą drogę”. Punktem zwrotnym w tej batalii staje się przyłapanie jednego z chłopców z licealistką Anią na miłosnych pieszczotach na zapleczu sali gimnastycznej, przez nauczyciela PW i gimnastyki „Biegacza” oraz awaria elektryczna prymitywnej instalacji nagłaśniającej podczas próby zespołu, w wyniku czego „John” ulega ciężkim poparzeniom i zostaje przewieziony do szpitala.

Zapada jednoznaczna decyzja połączonych sił przeciwników zespołu: „ściąć kudły na zapalce!”. Tymczasem przewrotny a sadystyczny „Biegacz” każe stawić się Ani w swoim mieszkaniu, aby odebrała skonfiskowany „corpus delicti”, wiadomą część bielizny. Można się domyślać, jaki ma być właściwy cel owej wizyty. Ow szantaż najbardziej boli „Ringa”, który autentycznie kocha Anię.

Zmasowany atak ciotki-dewotki „Ringa”, księdza proboszcza, dyrektora szkoły, no i „Biegacza”, zagrożenie mekami piekielnymi, niedopuszczeniem do matury lub wręcz wyrzuceniem ze szkoły „rozpustnej” dziewczyny, osiągają cel: chłopcy poddają się. Może raczej; zostają złamani. Zespół rozwiązany, fryzury zlikwidowane, a Ania udaje się do domu „Biegacza”. „Ringo”, po nieudanej próbie samobójstwa, trafia na pewien czas do szpitala psychiatrycznego. Po kilku miesiącach swoisty happy end: w wieczór balu maturalnego, kiedy Ania i „Ringo” wyznają sobie miłość (demoniczny „Biegacz” notabene nie skorzystał z „okazji!”). Ale po latach parę tę czeka sala sądowa i sprawa rozwodowa, kiedy to między dwójkiem ludzi nie już nie pozostało wspólne, nawet uwielbiania kiedyś i jednocząca wszystkich młodych muzyka Beatlesów.

Tak oto przedstawia się pokrótce treść „Yesterday”. Owego nostalgicznego „Wczoraj”, którego pomysłu narodził się z zafascynowania autora znanym utworem Beatlesów pod tym samym tytułem.

Film Piwowarskiego jest więc nostalgiczny, ewokujący pewien polski klimat sprzed dwudziestu lat, fascynacje, sprawy i problemy ówczesne na-

szej młodzieży. Ale także — co nie mniej ważne — młodzieży na całym świecie zafascynowanej muzyką Beatlesów i jednoczącej się w swej kontestacji wobec świata dorosłych. Tak więc Piwowarski podjął temat uniwersalny. (I to może ujęło zagranicznych jurorów?)

Jednak opowieść Piwowarskiego nie może wyzwać się z szeregu stereotypów, które nawarstwiły się w czterdziestoletniej historii polskiego kina powojennego. Nie może jakby oderwać się od tych „modelowych” ciotek-dewotek w grubej czerni, księży-dobrodziejów spacerujących po plebanijskich ogródkach, „typowych” lekko przestraszonych dyrektorów szkół średnich oraz agresywnych nauczycieli-łepaków wychowania fizycznego. Nie potrafi także „Yesterday” — pretendując wszak do roli filmu psycho- i socjologizującego — zejść



bardziej „w głąb” mentalności i świata przeżyć swoich bohaterów. Siłzga się jakby — zresztą w sposób niejednokrotnie barwny i efektowny — po samej powierzchni świata i spraw, które przedstawia.

Ale może nie dostrzegają tego wszystkiego widzowie-krytycy zagraniczni, dla których Polska i polskie sprawy egzystują często bardziej jako określony mit, a nie jako otaczająca ich rzeczywistość? A może... taka właśnie jest prawda o nas, taki nasz wizerunek, jaki przedstawia w swym filmie Radosław Piwowarski? Tylko, że my sami nie potrafimy go dostrzec lub nań się zgodzić? I dlatego wysoka ocena „Yesterday” wydaje się nam tak zagadkowa?

M. D.

# Okolice sztuki

## Normalnie, z potrzeby ładu

**Z**CALĄ pewnością można już stwierdzić, że młode pokolenie artystów polskich postrzega sens i urok w wykonywaniu normalnych obrazów czy grafik, które korespondują ze społecznym czy duchowym doświadczeniem wspólnoty między Odrą a Bugiem, nawiązują do tradycji szeroko pojmowanego realizmu, z jego respektowaniem dla rzetelnej roboty plastycznej, wymagającej zręcznej dłoni, dobrego oka i cierpliwości na miarę mistrzów cechowych. „Chcemy zawrócić malarstwo na tory prostoty, piękna, prawdy, autentyczności i doskonałości” oznajmiają w manifestie młodzi artyści, a ja biję im brawo, bo już jakieś 14 lat temu zęgnąłem się z awangardą, zakłopotany jej skłonnością do praktyk onanistycznych i postawą, którą można zakwalifikować jako psychozę paranoidalną. Tylko w Lublinie próbuje się jeszcze w ludzi wmawiać, że przetróżni akcjonery i „nowi dzicy” (ta moralna nędza krajowego malowarstwa) ciągle stanowią lokomotywę naszej sztuki, choć jest to tylko drewna na bocznym torze niegdysiejszych urojeń.

Zwrot ku wypowiedzi normalnej, spowinowaczonej formalnie z tradycją sztuki, a jednocześnie uwrażliwionej — jeśli materia kreacji na to zezwala — na treści polskiego „tu i teraz”, otóż taki zwrot obserwuje się w całej kulturze artystycznej.

Kiedy Krzysztof Penderecki zyskał uznanie światowych audytoriów i wielkich firm promujących muzykę, w kraju zarzucono mu, że sukces ten oplotił sprzeniewierzeniem się ideom awangardy, do której wszak był zaliczany. Kilka lat temu, przepytany na okoliczność tej sprawy przez dziennikarza, kompozytor odpowiedział, że to nie on odszedł od awangardy, lecz awangarda odeszła od muzyki.

Na ostatniej „Warszawskiej Jesieni”, przecież nacełowanej na prezentację najnowszych dokonań wspomnianej formacji, dominowały utwory głuche na powaby np. aleatoryzmu: logiczne i klarowne w budowie, nawiązujące do tradycji w sferze harmonii, rytmiki i brzmienia. Jerzy Waldorff („Polityka” nr 41) w „Arbor Cosmica” Andrzeja Panufnika usłyszał nawet aluzje „do góralszczyzny”, a

„VI Symfonia” Kazimierza Sikorskiego, „pisana w stylu neoklasycyzmu z lat trzydziestych”, wydała się krytykowi „na żywo danym wykładem, jak należy posługiwać się wzorowo polifonią w orkiestrze”. Wzorowo, czyli zgodnie z regulami! Nie od rzeczy będzie, jeśli przypomnę, że karneły na całą imprezę kosztowały na czarnym rynku bodaj 60 tys. zł, a więc pięć razy więcej, niż wynosiła ich oficjalna cena.

„Yesterday” Radosława Piwowarskiego, reżysera wyszydzonego wcześniej przez naszą „światową” krytykę za serial telewizyjny „Jan Serce”, cieszący się ogromnym wzięciem masowej widowni, otrzymał niedawno prestiżowe nagrody na międzynarodowych festiwalach w Wenecji i San Sebastian, aczkolwiek — jak zauważył Zdzisław Pietrasik w cytowanej już „Polityce” — nie podbił bębna polskiej spraw politycznych i był zrobiony normalnie, „z początkiem, środkiem i końcem”.

Do tej listy można by jeszcze dorzucić fakt wznowienia i błyskawicznego rozchodzenia się ogromnych (100—300 tys. egzemplarzy) nakładów książek Marii Rodziewiczówny, owych melodramatycznych i moralizujących powieści z imprimiturą prowincjonalnej kruchty. Po cóż jednak to robić, skoro wiadomo, że zawsze w Polsce największym wzięciem cieszyły się „czytadła”, a miłość wydaw-



JEŚLI PAKI NADBI DĘDZIE SIĘ TAK GŁUPI WAMBECZNA, W KONCU PANIÓ TAK NAMAŁO... 1970.

Rys. Szczepan Sadurski

ców do samej Rodziewiczówny ma motywacje głównie ekonomiczne. Bardziej na miejscu będzie chyba przypomnienie, że „Lato leśnych ludzi” stało się kanwą serialu telewizyjnego, oglądanego właśnie przez młodzieżową widownię.

Powracając do malarstwa, chciałbym tymczasem jedynie wskazać na twórczość młodego Mirosława Górskiego z podwarszawskiego Sobikowa. Podejmuje on tematy pośpolite, przedstawia „Rolnika”, „Emerytów” i „Rzeźników” — na sposób realistyczny (kolor lokalny, perspektywa, dokładny modelunek postaci, psychologiczna indywidualizacja twarzy), nie cofając się nawet przed komponowaniem płótna wedle jednego z XIX-wiecznych obrazów Aleksandra Gieryskiego. Dalekie od naturalizmu, prace Górskiego są przecież „jak żywe”, widzimy w nich kawałek naszego życia (wiejskiego), a prosiak oprawiany przez dwóch facetów tak apetycznie paruje, że kierowani rutynowym odruchem mamy ochotę ustawić się w kolejce po jego mięso. Jestem przekonany, że niektóre obrazy tego autora byłyby wielce cenione w latach realizmu socjalistycznego. Domniemanie to nabiera głębszego sensu po przypomnieniu, że i na współczesnych wystawach Górski bywa nagradzany — i słusznie! Bo rzeczywiście, chwalić autora należy: za warsztat rzetelny i wrażliwość obserwacyjną.

W podobnej poetyce utrzymane jest malarstwo artysty mieszkającego znacznie bliżej Lublina, w Piaskach, a zatem w miejscowości trochę tylko większej od Sobikowa. Mam na uwadze twórczość Witolda Tomasza Nóżki, który ukończywszy osiem lat temu warszawską ASP, jął się praktyki niezwykłej, zgoła egzotycznej na naszym terenie: utrwalania na płótnach malomiałostkowych scen rodzajowych (jarmarki) i takichże krajobrazów ze sztafażem, zabudowanych kurnikami, szopami i wszelaką inną rudera. Przyciągają też uwagę Nóżki starzy, zniszczeni ludzie, dobiegający kresu życia w starych, zniszczonych wnętrzach. Ta malarcka wspólnota osób i rzeczy w bezwzględnie rozwijającym się procesie degradacji, ta przemiana żywych ludzi w spekanie i niefunkcjonalne przedmioty określa przecież nie tylko krąg zainteresowań tematycznych czy problemowych młodego autora. Te obrazy sugerują, że namalował je człowiek dojrzały, wnikliwy obserwator życia (co stwierdzam trochę na wyrost, albowiem nie znam Nóżki osobiście), który miewa przecież chwile słabości i dramatyczne motywy zamienia w pionki do gry w tzw. malowniczość, na ogół w zieleniach i błękitach.

Skąd się to wszystko wzięło? Normalnie, z potrzeby ustanowienia ładu w chaosie, jaki od dawna panuje w świecie, który umownie można by określić mianem świata wartości.



**C**ZY możliwa jest w najbliższych dziesięcioleciach podróż na Marsa? — zastanawia się Dominique Simonnet na łamach znanego francuskiego tygodnika „L'Express”. Tak! Pod warunkiem, że będzie to wspólna wyprawa zorganizowana przez Amerykanów i Rosjan. W takim wypadku człowiek postawi stopę na Marsie już za trzydzieści lat, około roku 2015.

To nie dziennikarska fantazja. Myśl o podobnym przedsięwzięciu zaprzęta zarówno naukowców, jak i polityków. I być może, pierwsza transmisja telewizyjna z Marsa wyglądać będzie właśnie tak, jak sobie wyobraża Dominique Simonnet: na ekranach odbiorników telewizyjnych mieszkańcy Ziemi zobaczą stojących obok siebie, trzymających się za ręce, kosmonautów — przedstawicieli ZSRR i USA, a także Japonii i Europy. Za nimi — ogromna, pokryta czerwonym pyłem marsjańska pustynia... Zanim ten obraz trafił na Ziemię, biegł przez przestrzeń kosmiczną całe dwadzieścia minut! Z odległości 300 milionów kilometrów przesłano oto zdjęcie, które będzie symbolem Trzeciego Tysiąclecia. Po raz pierwszy w historii naszego świata człowiek stanął na Marsie. I jest to zwycięstwo nie: jednego narodu, ale całej ludzkości!

Mars... Planeta, z którą wiązało się zawsze tak wiele mitów, z której przybyli na Ziemię bohaterowie Wellsowskiej „Wojny światów”, Mars — ojczyzna małych zielonych stwórców, zaludniających dotąd naszą wyobraźnię...

naukowców i przedstawicieli przemysłu w celu przedyskutowania koncepcji wyprawy i badań nad planetą. Było to forum niezwykle Wzięło w nim udział kilkuset uczestników. Naszkicowano śmiało plany pierwszej ekspedycji. Przedstawiono koncepcję najbardziej właściwego pojazdu kosmicznego, rodzaj jego napędu, konstrukcję bazy marsjańskiej itp.

Kolejne, drugie kolokwium na ten temat, zorganizowane w 1984 r. pod egidą wpływowego Planetary Society, które zdecydowało o utworzeniu Instytutu ds. Marsa, posunęło sprawę znacznie naprzód. Tym razem było już oficjalnie reprezentowane na owym kolokwium także NASA. Zwolennicy podboju Marsa wygrali swą pierwszą batalię.

Zapewne przyczynili się do tego także dochodzące Amerykanów wieści, jakoby Rosjanie przygotowywali się do eksploracji Marsa. Rosyjski pojazd kosmiczny miałby, według doniesień, wylądować najpierw na Phobos, jednym z dwóch księżyców planety. James Oberg, autor książki „Misja na Marsa”, a także pracownik NASA, twierdził, że Związek Radziecki jest w stanie wysłać na Marsa załogowy statek kosmiczny jeszcze przed końcem bieżącego stulecia. Musiałoby to wywołać zrozumiałe zaniepokojenie wśród Amerykanów. Uważają oni, że pierwsze radzieckie automatyczne pojazdy kosmiczne wyruszą w kierunku Phobos w roku 1988. Osiągnąwszy księżyc, przelecą nad jego powierzchnią na wysokości zaledwie kilku me-



Repr. Arkadiusz Karoń

# Marsjanie już się urodzili

A jakie jest realne dzisiejsze spojrzenie na Marsa? Jakże istnieją możliwości jego podboju? Dziś wiadomo, że choć wyprawa na Marsa z udziałem ludzi wyruszy — jak się rzekło — nie wcześniej niż w roku 2015, to jednak już w końcu lat dziewięćdziesiątych mogłaby ona być poprzedzona przez wysłanie tam automatycznie sterowanych amerykańsko-radzieckich statków kosmicznych. W Stanach Zjednoczonych niektórzy senatorzy sugerują ogłoszenie roku 1992 Międzynarodowym Rokiem Kosmosu. W ten sposób — twierdzą — zostałaby uczczona zarówno 75 rocznica Rewolucji Październikowej jak i 500-lecie odkrycia Ameryki.

W Stanach Zjednoczonych pierwszy pomysł wyprawy kosmicznej na Marsa powstał w roku 1952. Wyobrażano sobie, że powinno w niej wziąć udział dziesięć statków. Jednak rozwój badań związanych z planowanym lotem na Księżyc odsunął tę koncepcję na daleką przyszłość. Nie zaniedbano wszakże badań „czerwonej planety”.

W czerwcu 1965 r. pierwszy pojazd kosmiczny, sonda automatyczna „Mariner 4”, został wysłany przez Amerykanów w kierunku Marsa. Eksperyment nie w pełni się udał: sonda przeleciała w dość dużej odległości od Marsa. Przekazała jednak wiele danych na temat mijanej planety. W roku 1971 jeden z następców tamtego pojazdu, „Mariner 9”, został już umieszczony na orbicie okółomarsjańskiej. Można było za jego pośrednictwem dokonać wielu dokładnych obserwacji, przeanalizować przesłane zdjęcia telewizyjne. Ale nim się to stało, pojazd kosmiczny krążył przez dwa miesiące po orbicie, czekając, aż ustaną szalejące na Marsie burze, opadną gigantyczne obłoki pyłu i odsłoni się czysty obraz powierzchni planety. Kamery tv przekazały zdjęcia wielkich wymarłych wulkanów, wyschniętych kanionów, ślady dawnych rzek. Zainteresowanie Marsem wzrosło niepomniernie. A więc była tam kiedyś woda, były rzeki. Istnieje więc może także... życie na Marsie? Ze swej strony Rosjanie wysłali cały szereg sond kosmicznych „Mars”, które potwierdziły amerykańskie obserwacje.

W 1976 r. amerykańskie pojazdy „Viking 1” i „Viking 2” wylądowały na północnej półkuli Marsa i pobrały próbki gruntu planety. Niestety, mimo obecności tlenu, nie udało się znaleźć najmniejszego śladu życia: ani jednej żywej komórki, ani jednej bakterii. Mars zaprezentował się jako kamienna pustynia. To spowodowało, że na jakiś czas zmniejszyło się zainteresowanie nim. Zaczęto myśleć o Jupiterze i Saturnie. W USA na przykład, w opracowanym w 1976 r. projekcie programu badań kosmicznych do roku 2000, prawie nie wspomniano o Marsie.

Mimo braku zainteresowania ze strony NASA, znaleźli się w Stanach Zjednoczonych ludzie, którzy nie zrezygnowali z myśli o wyprawie na „czerwoną planetę”. Była to grupa astrofizyków, inżynierów i konstruktorów z uniwersytetu w Boulder w stanie Colorado. Założyli oni grupę studiów nad Marsem i w 1981 r. doprowadzili do spotkania

trów (!), dokonując analizy atmosfery i badań geologicznych gruntu przy pomocy sond laserowych. Amerykanie wysłaliby swoje pojazdy dopiero w roku 1990. Zostałby wówczas umieszczony na okółomarsjańskiej orbicie satelita „Mars Geochemistry and Climatology Orbiter” dla dokonania badań klimatu Marsa.

A co dalej? Czy należałoby przede wszystkim zbudować bazy kosmiczne na naszym Księżycu, pozwalającym na generalną „przymiarkę” przed wielkim „show” marsjańskim? Jest to kwestia dyskusyjna. Za logiczny etap przyszłego podboju Kosmosu i pierwszy krok „ku gwiazdom” uważa się w każdym razie budowę okółozemskiej stacji orbitalnej, zaplanowaną przez Amerykanów na rok 1992.

Jak wiadomo, Mars krąży po swojej orbicie, znajduje się w pewnych okresach bliżej lub dalej od Ziemi. Przy maksymalnym zbliżeniu podróż z Ziemi na Marsa trwałaby 6 miesięcy. Jednak przybywszy do celu, ekspedycja mogłaby myśleć o powrocie dopiero po upływie 16 miesięcy, kiedy to ponowne zbliżenie między obydwoma planetami byłoby największe. Powrót zająłby dalszych 6 miesięcy. Tak więc pierwsza wyprawa na Marsa trwałaby co najmniej 28 miesięcy. Prawie dwa i pół roku! Statek, udający się w tak odległą i długą podróż, musiałby być bardzo duży, a więc i ciężki. Żadna z ziemskich rakiet nie byłaby zdolna wynieść go w Kosmos. Należałoby więc zmontować statek na orbicie okółozemskiej. Stąd konieczność posłużenia się stacją satelitarną.

W Stanach Zjednoczonych najczęściej mówi się o konstrukcji statku kosmicznego złożonego z trzech członów, każdy długości 60 metrów, podobnych do tych, z jakich skonstruowana będzie sama stacja kosmiczna. Lot na Marsa składałby się z kilku etapów. Najpierw każdy człon przyszedłby do statku byliby dostarczony z Ziemi, osobno, na orbitę. Następnie wystrzelono by go z orbity w przestrzeń kosmiczną. Dopiero później, już „w drodze”, wszystkie trzy człony statku spotkałyby się i zostały połączone na kształt trójramiennej gwiazdy. „Gwiazda” ta obracałaby się — lecąc ku Marsowi — wokół własnej osi, aby wytworzyć sztuczną grawitację (odpowiadającą 1/3 grawitacji ziemskiej).

Taki statek kosmiczny mógłby pomieścić na swym pokładzie międzynarodową załogę składającą się z 15 osób. Wyposażony byłby w silniki „jonowe”, pozwalające na osiągnięcie szybkości dziesięciokrotnie większej od tej, jaką dają obecnie stosowane silniki. Po dotarciu do Marsa wsiadłoby na orbitę okółoplanetarną. Na powierzchnię planety wysłano by najpierw niewielkie stateczki dla zbadania terenu. Następnie osadzono by na powierzchni Marsa poszczególne człony głównego statku. Służyłoby przybyzszom z Ziemi do celów mieszkalnych i jako laboratoria badawcze. Przez wiele miesięcy kosmonauci żyliby wśród kamiennych pustyni, w temperaturze wahającej się latem od zera do stu stopni Celsjusza, wśród gwałtownie zmieniających się warunków atmosferycznych i silnych wiatrów.

Mimo wszystko Mars posiada warunki korzystniejsze dla człowieka niż inne planety systemu słonecznego. Jego grunt i jego atmosfera zawierają składniki niezbędne do życia. Przy pomocy małych generatorów nuklearnych można będzie wytwarzać tutaj powietrze i wodę, da się także wyprodukować paliwo potrzebne do powrotu statku kosmicznego na Ziemię. Są naukowcy, którzy uważają, że w ciągu stu lub dwustu lat po wylądowaniu człowieka będzie można pomyśleć o przekształceniu Marsa w Ziemię nr 2. Z czasem zładogdzi się tutejszy klimat, wpłynie się na poprawę składu atmosfery. W jeszcze kilka wieków później osadnicy marsjańscy będą mogli zdjąć skafandry. Potem nastąpi sprowadzenie na Marsa roślin i zwierząt. Za... kilka tysięcy lat (!) planeta zostanie zagospodarowana i przystosowana do normalnego życia. Kilka tysięcy lat — skądinąd drobiazg w historii Kosmosu.

Największą trudność w podboju Marsa sprawiają przecież nie problemy technologiczne, ale sam człowiek. Doświadczenia Rosjan z długoterminowych lotów na orbicie okółozemskiej (rekord: 7 miesięcy) wykazały, że podczas przebywania przez wiele miesięcy w stanie nieważkości w ciele ludzkim zachodzą liczne procesy negatywne: mięśnie ulegają atrofii, zostaje ograniczona cyrkulacja krwi, powstają zmiany w kręgosłupie, kości tracą wapń i stają się łamliwe jak zapałki. Jak twierdzi amerykański lekarz John Bulhingham — podczas wyprawy na Marsa i z powrotem astronauta straci 30 procent wapnia ze swego organizmu. Człowiek tak by się więc „adaptował”, w okresie tej podróży, do życia w przestrzeni kosmicznej, że byłby skazany na pozostanie w niej na zawsze, albowiem powróciwszy na Ziemię, po prostu popękałby i rozpadł się jak stary garnek. Musi się więc myśleć o stworzeniu w statkach kosmicznych sztucznego ciężenia. Niezwykle istotny jest także problem ochrony przed długotrwałym promieniowaniem kosmicznym. Istnieje wreszcie szereg problemów psychologicznych związanych z życiem w Kosmosie. Prowadzi się badania nad zorganizowaniem życia codziennego w stacjach orbitalnych. Jak wyposażać pomieszczenia żyłowe astronautów, w jakim kolorze powinny być ściany, czy potrzebna jest kuchnia, ile powinno być miejsc w sali jadalnej, ilu powinno być mężczyzn, a ile kobiet w załodze i jak rozwiązać problemy „męsko-damskie”? W pojeździe kosmicznym lecącym na Marsa musi znaleźć się m. in. także sala operacyjna i kilku lekarzy. Itd., itd.

Oblicza się, że koszt wyprawy na Marsa wyniósłby co najmniej 80 milionów dolarów. To znaczy dziesięć razy tyle, ile wynosi roczny budżet NASA. I te gigantyczne koszty to jeszcze jeden argument przemawiający za współpracą radziecko-amerykańską (a może dodatkowo: japońską i europejską).

„Eksploracja planety Mars przez człowieka jest równie nieunikniona jak odkrycie Ameryki” — twierdzi Roger Bonnet, dyrektor programu naukowego Europejskiej Agencji Kosmicznej. Lot na Marsa wszedł z fazy idei w fazę projektu. Projektu równie trudnego do wyobrażenia, jak w latach pięćdziesiątych projekt wyprawy na Księżyc.

Mężczyźni i kobiety, ludzie, którzy wyruszą na Marsa, już się urodzili. Tak, Marsjanie istnieją naprawdę! — pisze Dominique Simonnet. — Są nimi nasze dzieci.

Opracował: M. D.



# Jan Złomańczuk: Motor utrzyma się w lidze

— „Trener Złomańczuk to człowiek bardzo zdecydowany w działaniu, niekoniecznie ugrzeszczony w kontaktach służbowych, dążący konsekwentnie do wyznaczenia celu”. Taką opinię wygłosił jeden z pańskich byłych podopiecznych. Co pan na to?

— W moim zawodzie inaczej postępować nie można. Trener, który nie jest zdecydowany i konsekwentny, na pewno w efekcie przegrywa. Mnie również nikt nie głaszczy, jeśli drużyna osiąga słabe wyniki.

— Co panem kierowało przy podjęciu decyzji o odejściu z Igloopolu i rozpoczęciu pracy w Motorze? Takie zmiany w trakcie sezonu są zawsze trochę szokujące.

— Kontakt z Motorem miałem już w grudniu roku poprzedniego. Graliśmy kontrolny mecz w Lublinie, i wówczas na propozycję działaczy Motoru odpowiedziałem, że podejmę się pracy w tym klubie, ale od 1 lipca, po wygaśnięciu kontraktu Cmikiewicza tutaj i mojego w Igloopolu. Cmikiewicz nie ukrywał jednak, że chce odejść wcześniej, o czym informował oczywiście zarząd Motoru. Przyspieszyło to także moja decyzję, gdyż wspólnie z działaczami liczyliśmy, że uda się jeszcze uratować zespół przed degradacją. Sytuacja ta spotkała się w Dębicy ze zrozumieniem, gdyż stawiałem sprawę jasno i uczciwie. Tak więc mogłem opuścić Igloopol na dwa miesiące przed wygaśnięciem kontraktu i rozpocząć pracę z klubem lubelskim, chyba z nie najgorszym skutkiem.

— Czy widzi pan jakieś różnice w pracy trenera zespołu drugo- i pierwszoligowego?

— To trudne pytanie, ale różnice na pewno istnieją. W ekstraklasie stawia się trenerowi wyższe wymagania, a w konsekwencji i on oczekuje od zawodników większego wysiłku. Dobrze się więc złożyło, że miałem te dwa miesiące na wejście w rytm pracy w I lidze i poznanie zawodników. Mimo bowiem opinii, że druga liga jest bezpośrednio zapleczem pierwszej, skok w metodach szkolenia jest na pewno bardzo duży.

— Jak ocenia pan obecną pozycję Motoru w ekstraklasie? Czy miejsce w tabeli i osiągnięte wyniki są zgodne z aktualnymi możliwościami zespołu?

— Nie będę tłumaczył pewnej dysproporcji w tym względzie na przykład brakiem szczęścia. Posłużę się natomiast trzema przykładami. Pierwszy to mecz w Gdańsku z Lechią. Przy stanie 2:1 dla nas Iwanicki nie wykorzystał karnego, trafiając w poprzeczkę. Przy końcu spotkania daliśmy sobie za to strzelić wyrównującego gola. Na-

stępny przykład to mecz w Poznaniu, gdzie rezultat bezbramkowy utrzymywaliśmy do 78 minuty, by potem przegrać po rzucie karnym i kolejnej bramce w samej końcówce. I wreszcie ten nieszczęsny Górnik Wałbrzych: 92 minuta meczu i tracimy bramkę! Jakże stąd wnioskować? Że brak jest jeszcze zespołowi ogrania ligowego, a także dwóch, trzech bardziej rutynowanych zawodników, którzy potrafiliby to wszystko do końca przetrzymać. Proszę jednak pamiętać, że Motor jest najmłodszym zespołem w pierwszej lidze. Sądzę, że przy większym wyrachowaniu drużyny byłibyśmy bogatsi o jakieś trzy, cztery punkty. Nie możemy więc jeszcze upatrywać Motoru bardzo wysoko w ligowej tabeli, ale powinniśmy oczekiwać efektów, które przyjdą, gdy ten młody zespół bardziej okrzepnie. To jednak kwestia pewnego czasu. Należy więc na razie patrzeć na postęp, jaki już się dokonał, wyglądając równocześnie rezultatów pracy z młodzieżą w przyszłości.

— Co się dzieje z kontuzjowanym Leszkiem Iwanickim, liderem zespołu? Czy widzi pan pełnowartościowego dublera na tej pozycji?

— Z Leszkiem sprawa nie jest jeszcze do końca jasna. Lekarze nie są zgodni, czy jest to uraz ligotki, czy też nie. Jeśli okaże się, że tak, to Leszek będzie musiał poddać się operacji i w konsekwencji nie wejdzie na boisko już do końca tej edycji rozgrywek. Przy dobrej rehabilitacji miałby szansę wrócić do zespołu najwcześniej wiosną przyszłego roku. Mamy pod tym względem pecha. Od kilku spotkań szykowałem na tę pozycję Darka Bartoszewskiego. Kiedy zaczął się wdrażać do nowej roli doznał nagle w meczu pucharowym ze Stoczniovcem Gdańsk kontuzji i nie gra już od dwóch spotkań. Na kolejnego dublera wybrałem więc Jarka Górę. I mimo że jest jednym z najmłodszych zawodników w zespole, podczas meczu ze Stalą Mielec udowodnił swoje duże predyspozycje do gry w takiej właśnie roli. To dla mnie mile zaskoczenie, tym bardziej że i w Gdyni zagrał całkiem dobrze. Mam jednak pewne obawy, czy jego brak doświadczenia nie spowoduje wahania formy.

— Wciąż bulwersuje lubelskich kibiców, dlaczego w tak dramatycznej sytuacji, jeśli chodzi o obsadę pozycji bramkarza, nie sięgnie pan po Kalinowskiego? Przynajmniej w tym sezonie.

— Przychodząc do Motoru, od razu postawiłem na dwóch młodych bramkarzy. Zygmunt Kalinowski nie jest już zawodnikiem rozwojowym i inwestowanie w niego zamknęłoby drogę Opol-

skiemu i Karwatowi. Na Kalinowskiego patrzy się najczęściej przez pryzmat jego dawnych dobrych występów czy spotkań, w których decydował nawet o zwycięstwach zespołu. Nikt jednak nie rozpatruje jego aktualnej formy. Przebywałem z tym zawodnikiem długo, obserwując go na treningach, i chcę bardzo mocno podkreślić, że obecna forma Kalinowskiego nie jest najwyższa. Zapominamy także często, że ci młodzi bramkarze nie zawsze winni są przegranej. Czasami obarczamy ich winą za słabą grę całej drużyny, gdyż właśnie oni są tą „ostatnią instancją”. Na pewno Opolski trochę słabiej gra na przedpolu, może ma na swoim koncie nawet utratę bramki, ale wszystkie te mankamenty staramy się usilnie nadrobić. To właśnie oni, ci młodzi, stwarzają przed klubem perspektywę. Trzeba im tylko dać jeszcze trochę czasu.

— Czy nie obawia się pan wystawiania w ważnej roli stopera niezbyt jeszcze doświadczonego zawodnika, jakim jest Janusz Dec?

— Mam dwie możliwości obsadzenia tej pozycji: pierwsza to Modest Boguszewski, druga — właśnie Dec. Jeśli tego drugiego zawodnika posadziłbym na ławce, to jego kariera prędko by się skończyła. Wystawiając zaś Modesta na stoperze, nie znajduję piłkarza na etatowego forstopera. Mirosław Car nie potwierdził, jak dotąd, swoich waleń z meczu z Resovią, mimo iż szansę taką wielokrotnie mu dawałem. Uważam więc, że ustawiając przed Decem dwóch dobrych, doświadczonych zawodników, jakimi są Boguszewski i Piuta, stwarzam mu asekurację i możliwości rozwoju, w niczym nie naruszając waleń bloku defensywnego.

— Czy istnieje tzw. problem Łatki?

— Nie ukrywam, że Andrzej Łatka chciał odejść do Mielca i stąd wynikła jego czasowa absencja na zajęciach treningowych w naszym klubie. W spotkaniu ze Stalą nie angażował się zbyt w grę i stanowił niewielkie wsparcie dla drużyny. To trudna sprawa... Powiem tylko, że Andrzej nie gra na pewno tak, jak byśmy, klub i ja, sobie tego życzyli. Zawsze to podkreślam, że od zawodnika wymaga się rzetelnej gry i troski o losy zespołu. Być może Słipko czy Kudyba nie prezentują takich umiejętności technicznych, jak Łatka, ale za to chcą grać.

— Która z formacji w Motorze wymaga szczególnego wzmocnienia i jakie są w związku z tym plany transferowe?

— Musi nastąpić wzmocnienie w strefie pomocy i w obronie. Jeśli chodzi o akcje ofensywne, nie radzimy



Fot. Jan Trembecki

sobie źle, mimo iż nie strzelamy może wielu bramek. Często jest to jednak podyktowane słabą dyspozycją linii pomocy, która stanowi przecież motor napędowy ataku. Dlatego właśnie pod tym kątem będziemy szukali nowych twarzy, w okresie przerwy między rozgrywkami.

— Co pan sądzi o kwestii „młodej widowni” na stadionie Motoru?

— Określenie „młoda widownia” jest niezwykle trafne. Z racji swego zawodu jestem gościem na wszystkich ligowych boiskach w Polsce i mogę obserwować reakcję widzów. Zawsze imponował mi doping na stadionie gdańskiej Lechii; jest on nieustanny i niezwykle pomocny drużynie. U nas natomiast publiczność zaczyna reagować tylko wtedy, kiedy Motor uzyska bramkę, w przeciwnym wypadku wspiera drużynę gości. To jest naprawdę bardzo przykre. Takiej widowni jeszcze nie spotkałem. Mnie samemu zdarza się często odczuwać jej niechęć, nie zawsze zasłużoną. W tej sytuacji często gramy „na wyjeździe”.

— Na którym miejscu zakończy Motor rozgrywki sezonu 83/84?

— Odpowiedź na to pytanie może przynieść dopiero koniec sezonu. Osobiście jestem jednak optymistą i wierzę, że Motor utrzyma się w lidze.

— Kiedy przeprowadzi się pan na stałe do Lublina?

— Zrobiłem już w tym kierunku ogromny krok naprzód. Sprowadziłem do Lublina rodzinę; czekamy teraz na mieszkanie. Myślę, że nastąpi to niedługo.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

## NERWY ZAKÓW

Dokończenie ze str. 2—3

stanowiące istotnej patologii. Często obserwowane są reakcje lękowe jako objaw izolowany lub stanowiący element zespołów nerwicowych.

Badając lubelską młodzież akademicką, rozpatrzono również relacje między nerwicą a wynikami w nauce studentów. Porównując prymusów ze stu-

dentami osiągającymi niskie oceny, nie stwierdzono istotnych różnic w rozpowszechnieniu nerwicy. Większość autorów zajmujących się tym zagadnieniem twierdzi, że studenci z zaburzeniami psychicznymi osiągają takie same oceny jak osoby zdrowe, a główne przyczyny niepowodzeń mają inne źródła. Stwierdzono nawet, że przeciwny stopień nasilenia nerwicy wywołuje optymalny poziom napięcia emocjonalnego, potrzebnego do efektywnego myślenia i działania zarówno podczas przygotowywania się do egzaminów, jak też w trakcie ich zdawania. Silne nerwice przysparzają cierpień i utrudniają naukę zarówno studentom słabym, jak i prymusom, jednak waga i znaczenie tych problemów zdrowotnych są różne dla poszczególnych studentów. Można sądzić, że studenci z odchyleniami zdrowia, którzy nie mogą podjąć swoim obowiązkom, świadomie lub nieświadomie „wchodzą w rolę chorego”, czego wyrazem jest między innymi częstsze niż u prymusów zgłaszanie się do lekarzy oraz liczba uzyskanych urlopów zdrowotnych, zwłaszcza z przyczyn psychiatrycznych. Prymusi pomimo odchylenia w stanie zdrowia, powodujących trudności w nauce, pomyślnie kontynuują studia, osiągając bardzo dobre oceny. Można więc stwierdzić, że sposób przeżywania i pokonywania tych trudności jest czynnikiem różnicującym prymusów od studentów słabych. Stosunek między stanem zdrowia a funkcjonowaniem społecznym jest

więc często skomplikowany, bowiem większość chorych, pomimo różnych utrudnień, wypełnia swoje role życiowe. Tacy ludzie potrzebują jednak pomocy i oparcia.

Niezależnie od tego, czy u studenta stwierdzono objaw nerwicy, nerwice czy też inny problem osobowościowy, „zapotrzebowanie” na psychiatrów i psychologów wśród studentów jest bardzo duże. Sądzę, że to studenci przelamali barierę wstydu i niechęci, obserwowaną wśród niektórych członków naszego społeczeństwa w przypadku konieczności skorzystania z opieki psychiatrycznej. Zresztą sami studenci borykający się z problemami psychicznymi żartobliwie mówią o sobie: „czubki”. Dla porządku dodam, że w nomenklaturze młodzieżowej studenci z chorobami układu oddechowego to „wentyle”, z chorobami układu trawiennego — „podroby” a z uszkodzeniami narządu ruchu — „akrobaci”. Ten studencki podział chorych „obowiązuje” w pólśanatoriach akademickich i w Akademickim Centrum Rehabilitacji w Zakopanem.

W dużych środowiskach studenckich w Polsce akademicka służba zdrowia posiada wydzielone poradnie zdrowia psychicznego. Pion psychiatryczny Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych w Lublinie należy do przodujących w kraju, zapewniając opiekę specjalistyczną nie tylko studentom, ale także pracownikom

uczelni. Zasadnicze sposoby leczenia polegają na różnych formach psychoterapii indywidualnej i grupowej, pozwalającej w wielu wypadkach ograniczyć lub wyeliminować leczenie farmakologiczne. Nowoczesna psychiatria wymaga wysoko kwalifikowanych psychoterapeutów — w lubelskim lecnicznictwie akademickim pracuje trzech psychiatrów, czterech psychologów i muzykoterapeuta. Zespół ten poza pracą w poradni i z grupami psychoterapeutycznymi zapewnia stałą opiekę kilkudziesięciu studentom z przewlekłymi zaburzeniami psychicznymi zamieszkanym w pólśanatorium akademickim. Szczególną formą leczenia są oboje rehabilitacyjne dla studentów chorych na nerwicę. Lubelskie środowisko organizuje od kilkunastu lat takie oboje w czasie wakacji lub ferii. Jednakże służba zdrowia może załatwić tylko niewielką część problemów psychospołecznych, a najważniejsze znaczenie w walce z nerwicami ma psychoprofilaktyka w środowisku nauki, pracy i bytu, rozpoczęta w możliwie wczesnym okresie życia.

Rozwój cywilizacji spowodował, że zastępy Pawłów i Gawłów egzystują w dużych skupiskach — na górze, na dole, w środku i obok siebie.

Z tej egzystencji „moral” w tym spocie: Jak ty komu? tak on tobie”.

Lucjan Kleczkowski





dymie! Z pewnością piszesz o ochronie środowiska? Proponowałabym ci, Janku, abyś zaczął od siebie.

— Co tak późno wracasz dzisiaj ze szkoły?  
— Mała konferencyjka. Potem poplotkowaliśmy trochę. Wiesz, jak to przed wakacjami. Kokosińska wybiera się z mężem samochodem do Bulgarii. Kupują takie różne rzeczy, po drodze pohandlują i przywożą dołce. Wrócił się im wszystko z nawiązką. Potem, w sierpniu ona jedzie, ale już sama, jako opiekunka młodzieży do NRD.  
— Mogliby wziąć kogoś ze znajomością niemieckiego!

— Znajdą się tłumacze!  
— Ci, którzy mówią po niemiecku, nie mają chodów... Ludzie umieją się urządzać, nie ma co!  
— A ty, jak ten głupi, tylko siedzisz przy maszynie i stukasz. Tego i tak przecież nikt nie czytał!

— To już mnie nie interesuje. A ile prac naukowych czy pseudonaukowych powstaje i potem zalegają one półki księgarskie? Magistrów mamy jak psów, ale ludzi do roboty ciągle brakuje.

— W redakcji nie nowego?  
— Szykuje się wycieczka do Jugosławii. Stosunkowo tania, ale mogą jechać tylko sami pracownicy, bez rodzin.

— Czyli wczasy zapoznawcze. To nawet mądrze pomyślane, będziecie się mogli lepiej poznać, powiedziałabym — od wewnątrz.

— Ale wszyscy będą na widelcu!  
— Jak chcesz, to jedź. I tak na ciebie żadna nie polecą. Zbyt silna konkurencja na miejscu. Jugosłowianie są przystojni.

— Nie boisz się, że poderwę w ramach pogłębienia przyjaźni jakąś...

— Jakąś Jugosłowiankę? Ty nie lubisz czarnych dziewczyn, znam twój gust. Na mnie zwróciłeś dopiero wtedy uwagę, kiedy sobie włosy utuliłam.

— Przede wszystkim urzekła mnie twoja fryzura!

— Dzieło pani Laniewskiej... Ciągle się zastanawiam, dlaczego za ciebie wyszłam. Człowiek czasami tak głupieje!

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Poglądził ją po brzuchu.

— Coraz większy — powiedział. — Konie już? — Wierzył Chłonie, przecież to dopiero trzeci miesiąc. Jeszcze nikt się nawet nie domyśla, że jestem w ciąży.

— Bo może i nie? — Uśmiechnął się. — Nie powinnaś się przemieszać!

— Samo się wszystko zrobi, prawda? Ty masz dwie lewe ręce.

— Ale te dwie lewe ręce całkiem nieźle umieją stuknąć na maszynie!

— Właśnie widzę. Napisałeś tytuł i zapełniłeś pół kartki maszynopisu. Ty byś się lepiej wziął za jakieś skecze, albo teksty piosenek. Z tego to dopiero może być szmal!

— Tam rządził sytuacja, nie dopuszczają mnie.

— Jest piosenka o dziewczynie ratownika, dlaczego nie może być o żonie redaktora? „Żona redaktora tańczy w klubie „Nora”... Masz już pozatek.

— „Umysłowo chora, trzeba jej doktora...” Nawet sprawnie nam idzie. Zależny spółkę autorską.

— Zastanów się. Połóż się na chwilę.

— A ja wyskoczę do drukarni. Muszę jedną rzecz sprawdzić.

— Tylko nie siedź do północy!

Po drodze Morzał wstąpił do „Unii”. Początkowo miał zamiar odwiedzić kawiarnię, ale ostatecznie wybrał salę restauracyjną. Ze zdziwieniem zobaczył, że przy jednym ze stolików siedzi Iza Tredowicz. Aż zaniemógł z wrażenia. Ona też go dostrzegła, przeprosiła na chwilę towarzystwo i podbiegła do niego.

— Dzisiaj mam szczęście! — oświadczył. — Teraz spotykam ciebie, a rano twój czcigodny małżonek reperował mi samochód.

— Opięrzy mnie zdrowo! Ale dzwoniłam do niego, że muszę tu być z naszymi zagranicznymi. Dyrektor uważa, że w mojej obecności więcej utarguje. Chętnie bym cię zaprosiła do stolika, ale wiesz, że nie mogę.

— Jasne. Postawię ci drinka. Ja nie mogę pić, bo jestem wozem. Chodź na chwilę do barku.

(cdn.)

! Nie było sensu udawać. Uklonił się Halinie, ta lekko skinęła głową, ale przedtem obrzuciła Wandę badawczym spojrzeniem. Leon speszył się wyraźnie. Wanda musiała to zauważyć.  
— Znajoma?  
— Gorzej! — Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że cały czas trzyma swą partnerkę pod rękę. — To moja szwagierka, z którą jestem na pieńku.  
— Toś pan wpadł! Ale zaraz pana uwolnię od mego towarzystwa.  
Trzy taksówki zjawiły się niemal równocześnie.

VI.  
Redaktor Morzał już od dwóch godzin śleczął nad artykułem. Nic mu dzisiaj nie szło. Obłożył się książkami, wyjął teczki ze stosownymi tekstami kolegów po piórze, tekstami, z których to i owo można było zerznąć. Na brak materiałów pomocniczych nie narzekał, musiał tylko tak to wszystko komponować, aby nikt nie posądził go o plagiat. Kiedyś się już naciął pod tym względem i teraz dmuchał na zimne. Co akapit wymienił nazwiska naukowców, którzy na ten temat już się wypowiedzieli, tak że w gruncie rzeczy i wilk był syty i owca cała.  
— Tworzysz? — W progu stała żona. — Ale na-

# Człowiek - orkiestra

**O**CZESŁAWIE Niemenie napisano w okresie ostatniego dwudziestolecia sporo. Dla dzisiejszych trzydziestolatków Niemen jawił się absolutnym idolem rocka, wyjątkowym pieśniarzem i nowatorem. To przecież Niemen pierwszy śpiewał u nas w stylu czarnych wokalistów rhythm and bluesowych, pierwszy wykorzystał do nagrań organy Hammonda, a później modne do dziś syntezatory. Niemen zasłynął w kręgach młodzieży jako „odkrywca” poezji C. K. Norwida. Ludzie po trzydziestce z prawdziwym rozrzewieniem wspominają czasy ogromnej popularności songów „Dziwny jest ten świat” i „Bema pamięci rapsod żalobny”. Natomiast dla pokolenia nastolatków Niemen kojarzy się z postacią niemal historyczną. Znają, owszem, jego nagrania z płyt i kaset, ale nie z bezpośrednich ekscytujących spotkań. Dzieje się tak dlatego, że przez ostatnie 6 lat twórca „Płonącej stodoły” sporadycznie tylko zjawiał się na estradzie, a jeśli już, to daleko poza granicami kraju. Zaskarbiał tam sobie uznanie publiczności w różnym wieku, tracąc sympatię młodych odbiorców w Polsce.

Po latach wzlotów i porażek, zbulwersowany animozjami środowiska artystycznego i koniecznością stałych utarczek z dziennikarzami, postanowił wycofać się z czynnego muzykowania. Koncerty w przypadkowych salach za-

mienił na spokojną pracę w studiu i twórczość na potrzeby teatru oraz kina. Przygotował ilustracje do sześciu filmów i kilku głośniejszych przedstawień teatralnych. Ostatnim głośnym występem Niemena był udział w Międzynarodowych Targach Płytowych MIDEM'80 w Cannes, zaś płytą — singiel Rogotu „Przeprowadzka” wydany wiosną 1982 roku. Później o podziwianym dotąd wokaliście i kompozytorze było coraz ciszej. Co pewien czas dowiadywaliśmy się o jego nowych dokonaniach studyjnych, ale dla rynku estradowego nazwisko pieśniarza przestało się niestety liczyć. Tym bardziej, że zwolnione miejsce na szczycie zdobyła zawojować ekspansywnie młode kapele rockowe spod znaku Perfektu, Maanamu, Republiki i Lady Pank. Wielu sceptyków utrzymywało, że Niemen się już skończył, a jego kariera zmarnotrawiona.

Znając te opinie, byłem ogromnie ciekaw przebiega dawnego idola po latach. Okazja ku temu nadarzyła się całkiem niedawno. Wielki Czesław powrócił na scenę samotnie, wzmocniony potężną baterią syntezatorowych klawiatur i komputerowych ekranów. Powrócił jako człowiek-orkiestra, zafascynowany bardziej niż kiedykolwiek elektronicznym rockiem. Zdłudne byłyby jednak próby porównywania obecnych jego osiągnięć z rezultatami mistrzów syntezatorowej klawiatury — Vangelisa Papathanasiou, Isao Tomity, Jeana-Michela Jarre'a, Ricka Wake-

mana czy Klausa Schulze. Po prostu Niemen gra muzykę opartą na własnej wyobraźni, wolną od cytatów z nagrań sławnych keymanów. Tym różni się też od Marka Bilińskiego, Władysława Komendarka i paru innych panów próbujących wykorzystywać syntezator do solowych prób dźwiękowych. W sensie muzycznym obecne jego propozycje zdają się być kontynuacją eksperymentów zaprezentowanych wcześniej na płytach „Katharsis” i „Idee Fixe”. Są one fascynujące, choć momentami nazbyt trudne w odbiorze dla przeciętnego słuchacza. Do ich pełnego zrozumienia potrzeba nieco dłuższego kontaktu z płytą, względnie taśmą i nastroju skupienia.

Istotnym novum w aktualnych poczynaniach autora płyty „Terra Dofol-rata”, jaka niebawem powinna trafić do sklepów, są teksty pieśni. Stanowią one próbę spojrzenia na człowieka, jego dążenia i częstokroć niedorzeczne działania. Trzeba przyznać, iż Niemen wywiązuje się z roli tekściarza niezgorzej, a filozofujące dyskursy jego „graforytów” wspiera mocno zmienna w nastroje muzyka, porażająca ekspresją i natężeniem dźwięku. Dawny idol nastolatków jest teraz na scenie magiem syntezatorów, twórcą panującym absolutnie nad potężną maszyną generatorów dźwięku, modulatorów, detektorów, emulatorów, filtrów i sekwencerów. \*Możliwość wydobywania z nich najróżniejszych efektów, brzmień i barw wykorzystuje w sposób bardzo precyzyjny. Wszystko to sprawia, że rezerwa, z jaką młodzi fani przychodzą na jego koncerty, topnieje w miarę upływu czasu. Finał recitalu jest bezsprzecznym sukcesem skupionego artysty. Huragan braw przekonuje o tym najlepiej.

Tym samym Niemen udowodniła antagonistom i niedowiarkom, że potrafi obronić się nieprzeciętną wyobraźnią i wrażliwością, przelożonymi na język zaskakujących dźwięków. Jego ponowny sukces estradowy jest tym bardziej wymowny, że powstaje spontanicznie i nie towarzyszy mu kampania relacyjowa w prasie, radlu ani telewizji. Człowiek-orkiestra jest znowu w doskonałej formie, toteż polecam jego premierowe nagrania osobom wrażliwym na sztukę przez duże S.

Istvan Grabowski

## Pocztą literacką

**Izabella M. Opatów.** W bezczym zestawie nadesłanych utworów moja pozytywna uwaga zwróciła uwagę na początki „Budowanie ortu” i kilku innych. Jest to raczej poetycka ośro, ale i ona zbyt rozwlekła i nieklarowna. Moje zainteresowanie budza raczej utwory Krótsze, np. „Zaczynam się od słów: „Ktoś klasnął w dlonie” i „Widziałem lawinę”. Po rocznej przerwie dostrzegam dorosłość Autora i jego utworów, i większą staranność formalną. Jednak nawet w tych przeze mnie wyróżnionych są wiersze wymagające dalszej pracy. Warto to uczynić zachęcam.

**Adam K. Lublin.** To samo, co Zenonowi C. muszę powiedzieć i Panu, szczególnie w związku z wierszem „Budowanie ortu” i kilku innymi. Jest to raczej poetycka ośro, ale i ona zbyt rozwlekła i nieklarowna. Moje zainteresowanie budza raczej utwory Krótsze, np. „Zaczynam się od słów: „Ktoś klasnął w dlonie” i „Widziałem lawinę”. Po rocznej przerwie dostrzegam dorosłość Autora i jego utworów, i większą staranność formalną. Jednak nawet w tych przeze mnie wyróżnionych są wiersze wymagające dalszej pracy. Warto to uczynić zachęcam.

**Piotr L. Zamość.** Wiersze pisane w 1983, a do cześci i w 84 r. są, moim zdaniem, lepsze od najnowszych, mimo że znajduje w nich pożytko, jakby. Model Polski. Budza one mimo to zainteresowanie, gdyż spoutowane są bar dzieł współcześnie. W sumie są mało moim poznac utworów, aby je trafnie ocenić.

**Zofia P. Lublin.** Nie, nie nadaje się. Niech Pa-4 to wspomnienie potraktuje wyłącznie prywatnie.

**PS.** Dziękuję naszej stałej i wiernej Czerlnicze ze Swidnika — iak sama siebie w liście do nas określa — za jej wnikliwość. Oceniane przeze mnie wiersze Pani Wandy W. w części miały charakter krotoczwilny. Mogłem więc użyć terminu: ludyczny. Przyznaje jednak, że lepsze byłoby określenie ich jako rustykalne.

TJ

**OGŁOSZENIA DROBNE**  
Dogi niemieckie rodowodowe sprzedam. Lublin tel. 55-27-21. 27091/G-2

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopełowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boelan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wólcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skróćów. W sprawach literackich orazwimule interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unika 4.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.  
Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-35.  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.



# Bank pana Czesia i PKO SA

**S**ALA operacji walutowych Lubelskiego Oddziału Banku PKO SA: stylowe lampki z gustownym abażurem, gładka boazeria, fotele o wyplatanych oparciach, świetlno-dźwiękowe wywoływanie klientów przy kasach, szepem wymieniane sumy, aby nie uchybić dyskrecji co do wysokości wkładów. Zapach drogich perfum. Spokojny marsz strażnika bankowego. Stukot maszyny do pisania. Kolejki przy stanowiskach — cierpliwe, poważne i łagodnie nastawione do świata. Kurtki ze Stambułu, pewexowskie dżinsy, blamy z Aten i plastikowe reklamówki. Uśmiech i elegancja. Dziękuję i proszę. Jakby szelest zielonego papieru odmieniał szarą, urzędniczą rzeczywistość. Nikt tu nie zatrząskuje okienka przed nosem, nie popija taniej herbaty z fusami i nie spożywa bulki z utylowanej masłem serwetki. Dziewczyny mają zadbane włosy, dłonie, dobry makijaż. Jest tylko jeden mężczyzna — w garniturze jak spod igły. Jeszcze do niedawna było dwóch; nie garną się do tej pracy.

Natomiast pan Czesio ma garnitur jeszcze od ślubu, poplamiony tu i ówdzie. To nieublagane działanie czasu. Koszula ciemna, wkrótce rozchlestanta pod szyją. Jako prawdziwy milioner, pan Czesio ubiera się nie dbając. Zbyt dla elegancji zwraca uwagę i budzi zawistę. Interesuje. Choćby taki Urząd Skarbowy.

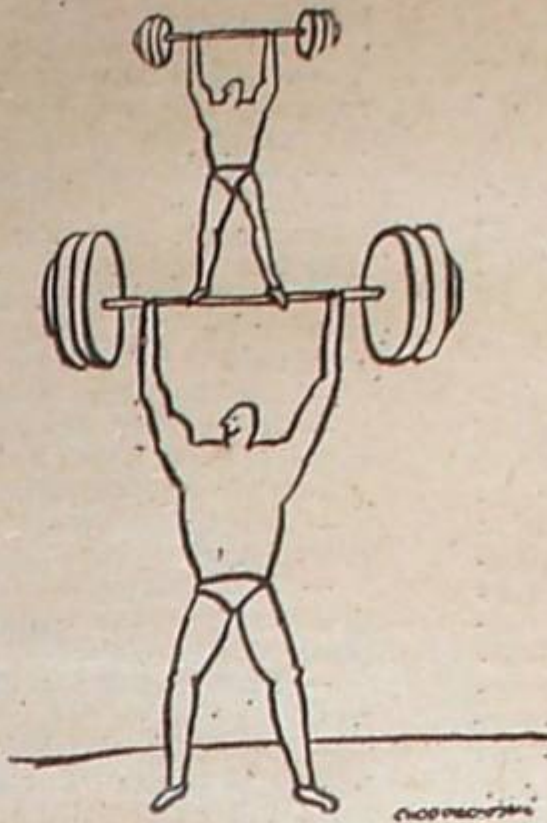
— Panie czy będą bony? — szepem scenicznym zatrzymuje klientów banku.

Wymagania wobec personelu są wysokie. Wykształcenie często wyższe, ekonomiczne lub prawnicze, czasami pomaturalne studium ekonomii. Umiejętność maszynopisania i liczenia na maszynie. Ogólna dobra prezencja i wysoka kultura osobista. Staranne, dwu- lub trzymiesięczne przeszkolenie. Wynagrodzenie nie za wysokie: średnio 15—16 tysięcy. Czasami praktyka w zagranicznym banku, głównie dla inspektorów: w Irving Bank w Nowym Jorku lub w oddziałach PeKaO w Stanach, Paryżu, Anglii. Często wyjeżdżają prywatnie.

Pan Czesio nie jeździ. Sa w tej branży i tacy od jeżdżenia, on jednak pracuje w kraju, na miejscu. On i kilku innych. Nie wydzielają sobie klientów. Tych zawsze dużo. Każdy swoje zarobi. Pan Czesio pracuje przed bankiem. Na skraju ul. Koziej, gdzie budowlani od kilku lat pozostawili twórczy bałagan. Tam, przy płocie, dyskretnie i uprzejmie pan Czesio dokonuje własnych walutowych transakcji. Świeci wysokie słonce, kręca się ludzie: ruch jak w prawdziwym banku.

Na ścianach gablota z banknotami i ciekawostkami numizmatyki. Tablice informacyjne: samochody do kupienia,

pięć podstawowych walut, na które przeliczane są od niedawna wszystkie rachunki; niegdyś było walut dwadzieścia jeden. Ale cały mózg mieści się na górze. Tam pracują maszyny i teleksy, tam sprawdza się wszystkie operacje, prowadzi ewidencję i dokonuje przeliczeń. Nowoczesna technika. Francuskie maszyny do sprawdzania banknotów, bo bywają i fałszywe, które przecież wychwytyje się szybko. Dziewczyny na dole też mają w tym niezłe doświadczenie. Dokładność i precyzja. Tu



Rys. Antoni Chodorowski

pomyłka mogłaby drogo kosztować. Operacji jest wiele. Bank obsługuje rachunki walutowe, załatwia realizację czeków, sprowadza dla klientów aparaturę użytkową i fachową literaturę.

Pan Czesio prowadzi tylko proste operacje: sprzedaż z rączki do rączki. I giełde, lepszą niż w „Veto”. To właśnie jego zarobek. Kupi taniej, sprzedać drożej. Przeczekać, aż podskoczy kurs. Dosłyszec właściwa plotkę, kiedy w banku zacznie się nadzwyczajny ruch. Klienci pana Czesia to

przeważnie ci, którzy muszą w trybie natywnym sprzedać ziemię. Nie tarzusia się. Pracowali trochę w Iraku lub Libii. Czasami, przy większej sumie, uda mu się wciągnąć wylatkiemu fraterowi ołki pustych kartek obłożonych paroma banknotami. Ale to ryzykowne. I potem trzeba na dłuższą zniżkę. A tak w biały dzień i w centrum miasta można porzucić spokojnie. I chociaż nikt nie płaci.

Pan Czesio wita się z klientami: — Panie, czy będą bony?

Bank stoi drobnymi posiadaczami. Rachunkami rzędu tysiąca, a nawet mniej USD (dolarów). Wszystkich rachunków jest w lubelskim oddziale 86 tysięcy. Ale rekinów mało. Najwyższy rachunek to 50 tysięcy. Nadal wpłaty przewyższają wypłaty, co jest dla banku dobrym prognostykiem. Królują także wymiana bezgotówkowa. Przekazy z zagranicy, kupno samochodu w ramach usług dla POLMO, prywatne zlecenia. Przekrój społeczny posiadaczy waluty bardzo różny: adwokaci i lekarze, rzemieślnicy, robotnicy z budów kontraktowych. Ale tych ostatnio nie tak znów wiele, może kilkuset. Bank działa już 56 lat, od 1929 roku. I to jako spółka akcyjna do dziś.

Pan Czesio działa załedwie od roku, ale stoi za nim tradycja dawnych kantorek wymiany. Jego obroty nie są duże: 400—500 zielonych dziennie, czasem mniej. Wystarczy wszakże na niezłe życie, chociaż w „Unii” pan Czesio się nie bawi.

Amerykański tygodnik „Newsweek” opublikował w 1978 roku listę dziesięciu najbogatszych ludzi w Polsce. Na trzech pierwszych miejscach znaleźli się prywatni udziałowcy banku PeKaO. Ich nazwiska nikt nie zna, wszak to Societe Anonime. Państwo ma gros udziału w banku i to dobrze, ale tutaj nawet najmniejszy procent to gruba forsa.

Bank bardzo się rozrósł w latach siedemdziesiątych. Jego usługi są naprawdę wielorakie, a zaufanie klientów wysokie. Pod względem wielkości i obrotów lubelski oddział znajduje się na jedenastym miejscu w kraju, a jego wyniki za rok ubiegły wypadły w ocenie centrali bardzo dobrze. Dyrektor Maria Papińska ma powody do zadowolenia.

Oba więc banki zgodnie funkcjonują obok siebie. Ten wielki, prawie państwowy, i ten mniejszy, pana Czesia, mają się doskonale. Możecie je odwiedzić każdego dnia, chociaż w różnych godzinach.

Przy przechodzeniu stylowych, eleganckich drzwi na pewno dopadnie was pytanie: — Panie, czy będą bony?

Henryk Więclawski

## Archiwum mistrzów anegdoty

Sarah Bernhard w okresie swego najwyższego powodzenia była zawsze obiegana przez licznych wielbicieli. Jeden z jej najgorętszych adoratorów prześladował ją na każdym kroku i dosłownie urządził na nią oblavy. Pewnego dnia zakochany prosił:

— O droga, boska moja! Niech pani uczyni ze mnie swego niewolnika!

— Dobrze — zgodziła się aktorka. — Odtąd jest pan moim niewolnikiem! — A po chwili

dodała: — Wle pan co? Odbierzam pana wolnością. Może pan natychmiast odejść!

Bernard Shaw otrzymał od pewnego stowarzyszenia kobiecego list z prośbą o podarowanie egzemplarza jego dzieła pt. „Przewodnik kobiety inteligentnej po kapitalizmie i socjalizmie”. Prośbę umotywowano szczupłością środków, jakimi rozporządzało towarzystwo.

Shaw odpowiedział odmownie: „Nie włączę powodu, dla jakiego miałbym podarować Waszej instytucji tę książkę. Związek, którego nie stać na kupno książki za 12 szylingów, według mego zdania, nie posiada żadnej racji bytu”.

W odpowiedzi nadszedł drugi list: „Cielogodny Mistrzu! Serdecznie dziękujemy za taką skąpą odmowę. List Pański udało się nam sprzedać za cenę jednego funta. A że książka Pańska kosztuje 12 szylingów, więc pozostało nam jeszcze 8 szylingów, które ofiarowaliśmy na cel dobroczynny”.

Odpowiedź Shawa brzmiała: „Ignorancja Wasza przechodzi wszelkie wyobrażenia.

Przeleż każda dziecko wie, że za jeden mój autograf można uzyskać co najmniej 15 funtów”.

Stowarzyszenie na ten list odpowiedziało: „Szczepnie panie Shaw! Bylibyśmy Panu wielce zobowiązani, gdyby Pan zechciał nas poinformować, gdzie się płaci tak dobre ceny. Za Pański drugi list bowiem nie możemy uzyskać więcej niż 1 funt i pięć szylingów. Chętnie przyjmujemy Pana na honorowego członka naszej instytucji. Dyplom gotowi jesteśmy wystąpić po niższej cenie: 7 szylingów”.

Wyszperal: Ryszard Dunin

## Krzyżówka nr 22 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko autora powieści, z której pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają zakończeniom słów.

Wyrazy pomocnicze:

1. państwo europejskie — 33. 92. 51. 19. 168.
2. między wierszami — 2. 41. 17. 138. 133. 64.
3. rdzawy ptak leśny — 9. 13. 52. 57. 85. 43. 145. 76.
4. molekula — 11. 153. 107. 29. 84. 45. 123. 39. 132. 6.
5. najazd, napad — 24. 27. 154. 60. 49. 140. 62.
6. krótki fragment — 25. 70. 104. 115. 50. 3.
7. ruiny zamku koło Kielec — 143. 118. 150. 166. 130. 156. 22.
8. publiczne uznanie władzy seniora — 144. 36. 77. 54.
9. ważny w przewodzie pokarmowym — 21. 53. 63. 158. 114. 89. 14.
10. wody lub przestępcy — 26. 106. 20. 117. 157. 116.
11. podziemny pęd wielu roślin — 5. 138. 31. 103. 124. 94.
12. włosy na powiekach — 112. 167. 126. 103. 160.
13. ślubny pierścionek — 28. 90. 83. 10. 147. 128. 65. 69.
14. armia — 42. 79. 93. 127. 163. 137.
15. krótka kielbaska — 4. 97. 88. 152. 148. 164. 72. 91.
16. podziemna część każdej rośliny — 7. 38. 59. 135. 105. 102.
17. kontrola, rewizja — 44. 15. 35. 1. 122. 151. 159. 12. 40.
18. mieszka na Półwyspie Apenińskim — 73. 47. 142. 32. 162.
19. harmider — 46. 67. 16. 68. 86.
20. miasto portowe w Hiszpanii — 81. 48. 74. 139. 23. 161. 98. 58.
21. dawne spodnie sportowe — 100. 8. 61. 109. 34.
22. naczynie na kwiaty — 134. 66. 99. 87. 96.
23. święto parafialne — 110. 95. 141. 165. 120. 80.
24. podstawowy plyn — 146. 113. 111. 78.
25. nie ma nic — 18. 55. 56. 121. 37. 82.
26. makowy narkotyk — 75. 149. 71. 119. 129.
27. zgromadzenie mnichów — 30. 101. 125. 155. 131.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	
	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32
	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	
48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61			
62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76		
77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	
93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106			
107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121		
122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135	136		
137	138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151		
152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163	164	165	166	167	168

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidlowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 20 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

A jak potrafią pieść odpustowi kramarze. Zwykłą wodę spod ogórków sprzedadzą ci za świętą, zgrzebną chusteczkę za perską tybetkę, drewnianą piszczałkę za klarnet, a najzwyklejsze karmelki za cesarskie słodycze.

Tadeusz Nowak  
Pólbaśnie

Nagrodę wylosowała Filomena Miłkowska, ul. Strzelców 17 m. 26, 31-423, Kraków